

Artur Conan Doyle

OSTATNIA GALERA

Wydawnictwo „ANDALA”

Warszawa 1992

Wydanie I

OSTATNIA GALERA

Było to wiosennego ranka, roku sto czterdziestego szóstego przed narodzeniem Chrystusa. Północno-afrykańskie wybrzeże, z szerokimi ławicami złotego piasku, zielonym pasem pierzastych drzew palmowych i nagimi, czerwonymi wzgórzami na horyzoncie, lśniło jak zaczarowana kraina, w opalowym świetle. Wyjawszy wąski skrawek łamiących się u brzegu śnieżnobiałych fal, jak daleko okiem sięgnąć rozciągało się błękitne, gładkie Morze Śródziemne. Na ogromnym bezmiarze wód jego widać było samotną galereę, która z okolic Sycylii zmierzała do dalekiego portu w Kartaginie.

Statek z oddali wyglądał pięknie i wspaniale, koloru ciemnoczerwonego, z podwójnym rzędem szkarłatnych wiosel, szerokim, trzepocącym się na wietrze, żaglem, skąpanym w tyryjskiej purpurze i burtami, świecącymi się od mosiężnych ozdób. Na przodzie sterczał spizowy trójzab, a wielka, złocona figurka Baala, Boga Fenicjan, dzieci z Kanaan, lśniła na tylnym pokładzie. Z jedyne go, wysokiego masztu, ponad szerokim żaglem, spływała flaga kartagińska z tygrysem. Podobny do majestatycznego, szkarłatnego ptaka, ze złotym dziobem i purpurowymi skrzydłami płynął tak po wodnym przestworzu - jak się zdawało z dalekiego wybrzeża, pełen majestatu i potęgi.

Ale spójrzcie na statek z bliska! Co znaczą te ciemne plamy na jego białych pokładach i mosiężnych okuciach? Dlaczego długie wiosła poruszają się niemrawo, nieregularnie, jakby konwulsyjnie? Dlaczego brak niektórych okiennic, dlaczego inne mają żółte szczyrby a jeszcze inne zwisają bezładnie u boku okrętu? Dlaczego dwa zęby mosiężnego trójzębu oderwano, czy też odłamano? Patrzcie, nawet wyniosła postać Baala jest Uszkodzona i zniekształcona. Wszystko to wskazuje, że okręt przeżył jakąś ciężką walkę, że jakiś dzień straszliwy pozostawił na nim ślady niezatarte.

A teraz spójrzcie na pokład i przypatrzcie się bliżej jego załodze! Pokładów jest dwa, przedni i tylny, a pod i ponad nimi, podwójny rząd siedzeń, gdzie wiosłarze, po dwóch na każde wiosło, ciągną je pochylając się przy robocie, której kresu nie widać. W środku jest wolna przestrzeń, którą przechadza się szereg dozorców, z biczem w rękę; sieką nim bez litości każdego niewolnika, który spocznie, choćby na chwilę, choćby dla otarcia potu z uznojonego czoła, Ale ci niewolnicy - spójrzcie na nich! Kilku z nich to jeńcy rzymscy, kilku Sycylijczyków, wielu czarnych mieszkańców Libii, ale wszyscy, bez wyjątku zupełnie wyczerpani, z powiekami opadającymi ze znużenia, z wargami szerniałymi i pokrytymi krwawą pianą, z rękami i plecami zginającymi się machinalnie do taktu pieśni starszego dozorca, śpiewanej chrapliwym głosem. Ciała ich we wszystkich kolorach od białego, jak

kość słoniową, do czarnego, jak heban, są nagie, za wyjątkiem przepaski na biodrach, a na plecach każdego widać ślady bicia rozgniewanego strażnika. Ale krew, która - zabarwiła - siedzenia i miesza się ze słoną wodą, spływającą z ich okutych w kajdany stóp nie pochodzi z tych skaleczeń. Wielkie, ziejące rany, zadane pchnięciem oszczepu i uderzeniem miecza znaczą plamy szkarłatne na ich nagich piersiach i grzbietach; wielu leży bez zmysłów, jedni na drugich, na ławkach, nie dbając już o świszczące nad nimi baty. To nam, tłumaczy puste okiennice i nieregularne uderzenia wiosła.

Załoga ma się nie lepiej, niż jej niewolnicy. Pokłady zawałone są rannymi i konającymi, Mało kto utrzymał się na nogach. Większa część Jeży wyczerpana na przednim pokładzie; jedynie kilku bardziej gorliwych poprawia uszkodzone zbroje, naciąga łuk lub oczyszcza pokład ze śladów walki. U stóp masztu, na podniesieniu stoi człowiek, kierujący zwrotami okrętu, z oczami utkwionymi w daleki cypel Megary, który osłania wschodni brzeg zatoki kartagińskiej.

Na przednim pokładzie zgromadziło się kilku oficerów, którzy milcząco i zamyśleni, patrzyli, od czasu do czasu, na dwóch ludzi, zajętych rozmową na uboczu. Jeden z nich, rostry, czarny, z twarzą o czystych rysach semickich i członkami olbrzyma, to Magro, słynny wódz kartagiński, którego imię było jeszcze postrachem na wszystkich wybrzeżach, od Galii do Czarnego Morza. Drugi, z siwą brodą, o smagłej cerze, na którego śmiałej, orlej twarzy malowała się niezłomna odwaga i energia, to polityk Gisco, należący do jednego z najszlachetniejszych rodów punickich, suffeta, uprawniony do noszenia purpurowej szaty i wódz stronnictwa, które dążyło i starało się wbrew samolubstwu i gnuśności współobywateli o podniesienie ducha ogółu i wzbudzenie poczucia wzrastającego niebezpieczeństwa ze strony Rzymu. Podczas rozmowy, obaj mężczyźni spoglądali niespokojnymi oczami ku północnemu widnokręgowi.

- Nie ma się co ludzić - rzekł starszy z nich głosem przygnębionym - my jedni zdołaliśmy ująć całość.

- Przerwałem bitwę dopiero wtedy, kiedy nie było już komu iść z pomocą - odparł Magro. - Tak jest, uszliśmy jak wilk, którego psy chwyciły za boki. Rzymska psiarnia nosi ślady wilczych zębów. Jeśliby jakaś galera wydostała się z bitewnego zamętu, byłaby już na pewno z nami, gdyż jedynym schronieniem dla niej mogła być tylko Kartagina.

Młodszy wojownik spojrzawszy śmiałym wzrokiem na daleki przylądek, który wskazywał, gdzie leży jego rodzinne miasto. Można już było dostrzec niskie, zalesione wzgórze, pokryte białymi plamkami willi bogatych kupców fenickich. Ponad nim; na bładoniebieskim, porannym niebie, zaznaczał się świecący punkt; to lśnił w słońcu spizowy dach cytadeli w

Byrsie, która panowała nad miastem.

- Mogą nas już widzieć z wież strażniczych - zauważył. - Ale z pewnością nie przypuszcza nikt, że my tylko pozostaliśmy z całej tej wielkiej floty, która wyruszyła stąd zaledwie przed miesiącem przy dźwięku trąb i biciu w bębny.

Patrycjusz gorzko się uśmiechnął. - Gdyby nie myśl o naszych wielkich przodkach i ukochanej ojczyźnie, Królowej Mórz - rzekł, - cieszyłbym się nieledwie z klęski, która spotkała to próżne i słabe pokolenie. Spędziłeś całe swoje życie na morzu, Magro. Nie wiesz, co się działo w naszym kraju. Ale ja patrzyłem, jak rósł wrzód, który obecnie staje się powodem naszej śmierci. Ja, jak i wielu innych, schodziłem między lud, aby przemawiać, ale obrzucono mnie błotem. Wielokrotnie wskazywałem na Rzym, mówiąc: Patrzcie na ten naród, który sam uczy się robić bronią, gdzie każdy mąż uważa walkę za swój cel i obowiązek. Jakżeż możecie mu sprostać wy, którzy kryjecie się za plecami najemników. Powtarzałem to setki razy.

- I cóż na to mówili? - spytał stary żeglarz,

- Rzym był daleko, nie widzieli go, było im zatem wszystko obojętne - odparł starzec. - Myśleli o handlu, o wyborach, o dochodach z kasy skarbowej. Ale nie chcieli zrozumieć, że samo Państwo, matka nasza wspólna, chyliła się do upadku. Przypominali pszczoły, zastanawiające się nad podziałem wosku i miodu w chwili, gdy pod ul podkładano żagiew, która miała wszystko obrócić w popiół. Czyż nie jesteśmy władcami morza? Czyż Hannibal nie był wielkim człowiekiem? Tak mówili zapatrzeni w przeszłość, ślepi na przyszłość. Nim słońce zajdzie będzie tam dużo płaczu i narzekań, ale co to dziś pomoże?

- Smutna to pociecha - rzekł Magro - że Rzym, nie utrzyma tego, co zdobędzie.

- Nie mów tak. Po naszym upadku, panowanie nad światem przejdzie w ich ręce.

- Na krótki czas, tylko na krótki czas - rzekł Magro poważnie. - Ale śmiać się ze mnie będziesz, kiedy powiem, skąd się o tym dowiedziałem. Na Wyspach Cynowych, daleko na morzu, żyła mądra kobieta, z której ust słyszałem wiele rzeczy, a wszystkie się sprawdziły. I o tej bitwie, z której powracamy, słyszałem zupełnie dokładnie. Tak, tak, wśród dzikich szczepów na zachodzie Kraju Cyny, można się wiele nauczyć.

- I cóż mówiła o Rzymie?

- Że padnie, jak i my, osłabiony przez zbytek i walki wewnętrzne.

Gisco zatarł ręce. - To mnie pociesza - rzekł. Ale po upadku naszym i upadku Rzymu, któż stanie się Władcą Mórz?

- I oto ją pytałem - mówił Magro - dałem jej nawet mój Tyryjski pas z złotą zapinką w nagrodę za odpowiedź. Ale zdaje się przepłaciłem słono jej opowieść, która nie miała chyba

sensu, aczkolwiek wszystkie jej przepowiednie sprawdziły się. Mówiła, że w przyszłości jej własny kraj, ta wiecznie mglista wyspa, gdzie umalowani dzicy zaledwie znają użytek wątych czólen, ujmie ostatecznie trójzab, który wypadł z rąk Kartagińczyków i Rzymian.

Uśmiech, który rozjaśnił na chwilę wyraziste rysy starego patrycjusza, zamarł mu na wargach, a palce ścisnęły dłoń towarzysza. Ten stał, jakby wryty w ziemię, z pochyloną naprzód głową i orlimi oczami, utkwionym w północny widnokrąg. Na jasnym, błękitnym nieboskłonie pojawiły się dwa drobne, czarne punkciki.

- Galery! - szepnął Gisco.

Ujrzała je cała załoga. Zebrała się przy burtach okrętu, gestykulując i rozprawiając z ożywieniem. Przez chwilę zapomniano o klęsce i szmer radości biegł od grupy do grupy na myśl, że oto nie byli sami - że ktoś równie, jak i oni, uszedł ze straszliwego pogromu.

- Na duszę Baala! - rzekł czarny Magro. - Nie przypuszczałem, że ktoś wydostał się jeszcze z tej bitwy. Czyżby to był młody Hamilcar na „Afryce” albo Beneva na błękitnym okręcie syryjskim? We trójkę moglibyśmy, przy pomocy innych, stworzyć flotyllę i jeszcze raz spróbować szczęścia, Jeśli nie popłyniemy szybciej, dopędzą nas jeszcze przed wejściem do portu.

Uszkodzona galera posuwała się z wolną, a dwóch przybyszów zbliżało się coraz bardziej od północy.

Jeszcze tylko kilka mil dzieliło statek od zielonego przylądka i białych domów na przedmieściu wielkiej, afrykańskiej stolicy. Widać już było, na lądzie, ciemny tłum oczekujących obywateli. Gisco i Magro obserwowali jeszcze, ze zmarszczoną brwią, zbliżające się galery, kiedy brunatny, libijski bosman, z zaciśniętymi zębami i pałającymi oczami, wpadł na tył okrętu, wskazując długimi i chudymi rękami ku północy.

- Rzymianie! - krzyknął - Rzymianie!

Na wielkim statku zapanowała na chwilę cisza. Jedynie plusk wody i miarowe uderzenia wiosł przerywały milczenie.

- Na rogi u ołtarza bóstwa, mam wrażenie, że ten człowiek mówi prawdę! - krzyknął stary Gisco. - Patrz! Pędzą ku nam jak sokoły na zdobycz. Mają pełną obsadę ludzi i wiosł.

- Gładki kadłub - niepomalowany - rzekł Magro. Spojrzyj, jak odbija żółto w świetle słońca.

- A tam pod masztem. Wszak to ten pomost przeklęty, którego używają do przedostania się na pokład wroga.

- Zazdroszczą nam nawet tej jednej galery - rzekł Magro z gorzkim uśmiechem. - A więc żaden statek nie powróci do ojczyzny. Niech i tak będzie. Każę zaprzestać wiosłowania.

Zaczekamy na nich.

- To myśl godna mężczyzny - odrzekł stary Gisco, - ale miasto może nas potrzebować w przyszłości. Po cóż ułatwiać Rzymianom odniesienie zupełnego zwycięstwa? Nie, Magro, niech nasi niewolnicy wyteżą wszystkie siły przy wiosłach, nie dla naszego ocalenia, ale dla dobra państwa.

Wielki, czerwony okręt zaczął się zatem z mazołem i trudem posuwać naprzód, jak wyczerpany, ledwie dyszący jeleń, który stara się umknąć prześladowcom, podczas gdy dwie wysmukłe, nieubłagane galery zbliżały się coraz bardziej od północy. Promienie słońca odbijały się już od niskich hełmów Rzymian ponad burtami i przeglądały się w srebrnej toni morskiej, której błękitne fale pruły ostre przody okrętów. Z każdą chwilą statki zbliżały się coraz bardziej i przeraźliwy odgłos trąb rzymskich słychać było coraz wyraźniej.

* * *

Na wysokim urwisku Megary stał wielki tłum ludzi z Kartaginy, którzy zbiegli tu na wieść, że galery wracają. Stali tak, biedni i bogaci, effeci i plebejusze, biali Fenicjanie i czarni Kabyle, patrząc z zapartym w piersiach oddechem, na rozpościerający się przed nimi widok. W odległości jakiś kilkuset stóp nadpływała galera punicka, będąca już tak blisko, że gołymi oczami mogli widzieć bitewne spustoszenie, które świadczyło o przebytych przez nią ciężkich walkach. Rzymianie pędzili również tak szybko, że zanosilo się odcięcie ich statku przez wroga, tuż u wejścia do portu; a jednak nikt z tego całego tłumu ludzi nie mógł podnieść ręki w jego obronie. Niektórzy płakali z wściekłości, niektórzy miotali przekleństwa, z pałającymi oczami i zaciśniętymi pięściami, inni wreszcie padli na kolana, wznosząc z błaganiem ręce do Baala; ale zarówno prośby i łzy, jak i przekleństwa nie mogły zmienić tego, co się stało i tego, na co się obecnie zanosilo. Ta uszkodzona, ledwie się unosząca na falach galera świadczyła, że flota ich przestała istnieć. Te dwa ścigające ją bez pardonu statki dowodziły, że Rzym chwycił już ich za gardło. Za nimi musiały nadpłynąć inne i jeszcze inne. Niezliczona, przygotowana do boju armia wielkiej Rzeczypospolitej, długoletniej władczyni na lądzie, która teraz opanowała i morza. W przeciągu miesiąca, dwóch, najdalej trzech, szeregi żołnierzy jej staną tutaj, a cała, niewyćwiczona ludność Kartaginy powstrzymać ich już nie potrafi.

- Nie! - krzyknął ktoś, lepszej myśli, niż reszta. - Bądź co bądź, odwagi nam i broni nie zabraknie.

- Szalony - rzekł inny. - Takie słowa właśnie doprowadziły nas do upadku. Cóż może człowiek najodważniejszy przeciw wrogowi, wyćwiczonemu we władaniu bronią, jeśli sam

nią władać nie umie? W obliczu atakującego, rzymskiego legionu zrozumiesz tę różnicę.

- A zatem ćwiczymy się!

- Za późno. Trzeba by na to co najmniej roku.

- A któż wie, co będzie z nami - z naszym miastem, od dziś za rok. Nie, mamy tylko jedną szansę, wyrzec się handlu, wyrzec kolonii, wyrzec się wszystkiego, co daje nam moc. Wówczas może zlituje się nad nami rzymski zwycięzca.

Tymczasem ostatnia bitwa morska Kartaginy dobiegała kresu. Tuż przed ich oczami, obie rzymskie galery wpadły, z obu stron, na statek Czarnego Margo. Sprzęgły się z nim, a on zrozpaczony, zarzucił zakrzywione haki kotwic na ich burty, spowijając ich w żelaznym uścisku, podczas gdy załoga, na jego rozkaz, wybijała w dnie okrętu wielkie dziury, przy pomocy młotów i siekier. Ostatnia punicka galera miała nigdy nie przybyć do Ostyi na widowisko dla ciekawych Rzymian. Spoczywać winna w własnych wodach. A nieugięta, czarna dusza dowódcy - rozbójnika rozradowała się na myśl, że nie pogrzeży się samotna w głębiach ojczystego morza.

Za późno zrozumieli Rzymianie, z kim mają do czynienia. Żołnierze ich czuli, że okręt, na który się wdarli, tonie. Wrócili w popłochu na macierzyste statki, ale i one zaczęły pograżać się w toni, w śmiertelnych uściskach wielkiej, czerwonej galery. Pograżały się coraz bardziej. Teraz pokład okrętu Magra zniknął już pod wodą, a statki rzymskie, szczipione z nim żelaznymi więzami, przechyliły się na bok, z jedną burtą w wodzie, drugą wysoko w powietrzu. Na próżno starają się uwolnić z śmiertelnego uścisku galery. Ta idzie na dno, a za nią, pociągane jej ciężarem, statki rzymskie. Słychać głośny trzask. To oderwał się bok jednego okrętu, który zniekształcony, rozbity, kładzie się, niezdolny do walki, na wodzie.

Ostatni, żółtawy błysk, w błękitnej toni, wskazuje, że jego towarzysz poszedł na dno, w żelaznym uścisku śmierci swego wroga. Kartagińska flaga z tygrysem zginęła w kłębiącym się wirze, aby się już nigdy więcej nie ukazać.

Gdyż roku tego wielka chmura unosiła się przez siedemnaście dni na wybrzeżu Afryki, czarna, gęsta chmura dymu z płonącego miasta. Po siedemnastu dniach plugi rzymskie zaoarały zwęglone szczątki stolicy, a na znak, że nie zbudzi się ona już nigdy do życia, posypano solą jej popioły. W oddali zaś tłum nagich, głodnych ludzi stał na wzgórzach, spoglądając na spustoszoną równinę, która niegdyś była najpiękniejszą i najbogatszą na ziemi. Zrozumieli oni za późno, że z wyroku niebios, panowanie nad światem należy się dzielnemu i uparcie dążącemu do celu, a każdy, kto nie spełnia obowiązków mężczyzny, straci wcześniej

lub później cześć, bogactwo i znaczenie, które zdobywa się tylko męstwem.

WSPÓLZAWODNIK

Roku pańskiego 66-go, Cesarz Nero, naówczas w dwudziestym dziewiątym roku życia, a trzynastym panowania, wybrał się do Grecji, w dziwnym orszaku, z zamiarem, jaki dotąd nie zbudził się w duszy żadnego władcy. Wyruszył z Puteoli, wiodąc z sobą dziesięć galer, naładowanych dekoracjami i przyborami teatralnymi, a razem z nim szedł szereg rycerzy i senatorów, których obawiał się pozostawić w Rzymie i którzy mieli ponieść śmierć w czasie wyprawy. W orszaku jego znajdował się Natus, nauczyciel śpiewu, Cluvius, człowiek obdarzony przez naturę potężnym głosem, który miał wywoływać jego tytuły i tysiąc wyćwiczonych młodzieńców, których wyuczono oklaskiwać śpiew lub grę ich pana. Wyuczeni byli tak dokładnie, że każdy z nich grał osobną rolę. Jedni mruczeli za ledwie w dowód milczącego uznania. Inni, uniesieni zachwytem, krzyczeli, tupali i bili kijami o ławki. Inni - i ci wywoływali największe wrażenie - nauczyli się od pewnego Aleksandryjczyka długiej, melodycznej frazy muzycznej, którą śpiewali razem tak, że działała na słuchaczy ogłuszająco. Przy pomocy tych zapłaconych wielbicieli, Nero miał wszelką nadzieję, mimo nieszczęśliwego głosu i zupełnie przeciętnego wykonania, powrócić do Rzymu z wieńcami ofiarowanymi przez miasta greckie w nagrodę za śpiew na konkursie. W czasie, gdy jego wielka, złożona, zaopatrzona w dwa rzędy wiosel galera unosiła się na falach morza Śródziemnego, cesarz siedział kamieniem w swej kabinie, z nauczycielem u boku, wygłaszając od rana do wieczora wybrane przez niego utwory, a nubijska niewolnica namaszczała, co kilka godzin, cesarskie gardło oliwą i balsamem, aby było gotowe na wielką próbę, jaka je czekała w krainie poezji i śpiewu. Pożywienie, napoje i codzienne zajęcia były dla niego przepisane, jak dla atlety, gotującego się do walki, a pobrękiwanie jego liry i skrzeczący głos słychać było ustawicznie z cesarskich pokoi.

Zdarzyło się, że żył w owym czasie grecki pasterz kóz, imieniem Policles, który je hodował, a częścią był właścicielem wielkiej trzody, pasącej się na długich zboczach gór w pobliżu Heroea, która leży o pięć mil na północ od rzeki Alfeus i w niewielkiej odległości od sławnej Olimpii. Człowiek, ten znany był w całej okolicy ze swoich zalet i właściwości charakteru. Był poetą dwukrotnie uwiecznionym za swoje wiersze i muzykiem dla którego gra i dźwięk instrumentu stanowiły coś tak naturalnego, że możnaby go spotkać raczej bez kostura, niż bez lutni. Nawet w ciągu długich i samotnych nocy zimowych nosił ją zawsze na plecach i skracał sobie, powoli się wlekące godziny, przy jej pomocy tak, że z czasem stawała się ona jakby częścią jego istoty. Był również piękny, ogorzały i zręczny, z głową jak u

Adonisa, a siłą przewyższał wszystkich rówieśników. Wadą jego było jednak jego usposobienie tak samowolne, że znosił żadnej opozycji lub oporu. Z tego powodu zostawał zawsze na wrogiej stopie z sąsiadami i kiedy mu coś strzeliło do głowy spędzał kilka miesięcy w swej chatce z głazów, wśród gór, z dala od świata, żyjąc tylko muzyką, w towarzystwie kóz.

Pewnego wiosennego ranka 67-go roku Policles, przy pomocy chłopca swego Dorusa, zapędził kozy na nowe pastwisko, z którego rozpościera się widok na leżące w dole miasto Olimpie. Spoglądając na nie z góry, pasterz kóz zdziwił się, ujrawszy, że część starego amfiteatru była osłonięta, jakby się tam odbywało jakieś przedstawienie. Żyjąc z dala od świata i wszelkich wiadomości, Policles nie przypuszczał, co to ma znaczyć, gdyż był pewny, że greckie igrzyska rozegrać się mają dopiero za dwa lata. Zapewne odbywał się tam jednak jakiś turniej muzyczny lub śpiewacki, o którym nic nie słyszał. W takim razie i on mógł mieć szansę pozyskania głosów sędziów, a w każdym wypadku posłuchania utworów i podziwiania wielkich śpiewaków, którzy zgromadzili się przy takiej okazji. Krzyknął zatem na Dorusa, aby zaopiekował się kozami i ruszył na dół, z lutnią na plecach, aby dowiedzieć się, co się dzieje w mieście.

Przedmieście zastał puste, zdziwił się jednak jeszcze więcej, kiedy na głównej ulicy nie zobaczył żadnego człowieka. Przyśpieszył kroku, a kiedy zbliżył się do teatru, uszu jego dobiegł gwar głosów, który świadczył, że zebrało się w nim mnóstwo ludzi. Nigdy nie marzył o ubieganie się o laury przed tak licznym zebraniem. Przy drzwiach stało kilku żołnierzy, ale Policles przemknął się między nimi i znalazł się poza plecami tłumu, który wypełniał wielką widownię, utworzoną przez pokrycie dachem części narodowego stadionu. Rozglądając się dookoła, Policles ujrzał wielu z pomiędzy swoich sąsiadów, których znał z widzenia, jak stłoczeni na ławkach, wpatrywali się w scenę. Zauważył również, że przy ścianach stali żołnierze i że znaczna część widowni zajęta była przez młodzieńców, wyglądających z cudzoziemska, przybranych w białe szaty i mających długie włosy. Wszystko to widział, ale nie wyobrażał sobie, co to ma znaczyć. Nachylił się do sąsiada, aby go zapytać, ale żołnierz zdzielił go zaraz ręką oszczepu i zawezwał szorstkim głosem do zachowania się spokojnie. Człowiek, do którego Policles się zwrócił, sądząc, że prosi o miejsce, przysunął się do swego towarzysza tak, że pasterz mógł usiąść na skraju ławki, tuż przy drzwiach. Stąd spoglądał z baczną uwagą na scenę, gdzie Metas, znany śpiewak z Koryntu i stary przyjaciel Policlesa, śpiewał i grał, przyjmowany dość obojętnie przez słuchaczy; Policles, któremu się zdawało, że Metas spotyka się z dość niesprawiedliwą oceną, oklaskiwał go gorąco,

zdziwiony był jednak, że żołnierze przypatrywali mu się z groźną miną, a wszyscy sąsiedzi spoglądali na niego z pewnym zdumieniem. Jako człowiek, obdarzony silnym i nieustępliwym charakterem, oklaskiwałby go jeszcze więcej, gdyby się nie spostrzegł, że wszyscy są przeciw niemu.

Ale to, co nastąpiło, wprawiło pasterza, kóz w osłupienie. Kiedy Koryntyjczyk Metas uklonił się i cofnął wśród nielicznych i nieszczerých oznak uznania, na scenie zjawiała się, wśród najdzikszego entuzjazmu ze strony części audytorium, jakaś szczególna postać. Był to przysadzisty, tłusty mężczyzna, ani stary, ani młody, z karkiem byka i okrągłą, nalaną twarzą, z policzkami, opadającymi w fałdach, jak u wołu. Przybrany był w śmiesznie krótką, niebieską tunikę, przewiazaną w biodrach złotym paskiem. Kark jego i część piersi były osłonięte, a jego krótkie, grube nogi nagie, od koturnów do połowy ud to jest dotąd, dokąd sięgała tunika. We włosach miał dwa złote skrzydła, tak samo jak przy kostkach, na podobieństwo bożka Merkurego. Za nim szedł Murzyn, niosący lutnie, a obok niego bogato ubrany oficer ze zwojami nut. Ta niezwykła postać, wzięwszy lutnie z rąk służącego, wystąpiła naprzód sceny, skłoniła się i uśmiechnęła do rozradowanego audytorium. „To jakiś pyszałek ateński”, pomyślał Policles, ale równocześnie przyszło mu do głowy, że tylko wielki mistrz śpiewu mógł doznać podobnego przyjęcia u greckiej publiczności. Był to widocznie jakiś niezwykły odtwórca, którego sława rozeszła się szeroko. Policles usiadł zatem i gotował się rozkoszować muzyką.

Przybrany na niebiesko śpiewak trącił kilkakrotnie w struny liry i rozpoczął „Ode o Niobie”. Policles wyprostował się na ławce i spojrzał na scenę zdziwiony. Utwór wymagał nagłego przejścia od niskich do wysokich tonów i został w tym celu napisany. Niskie tony wyszły chrapliwie, jak chrząkanie prosiaka, a towarzyszący im akompaniament przypominał skamlanie cierpiącego psa. Potem śpiewak podniósł głowę do góry, wyprostował się na krótkich nóżkach, wspiął się na palcach i z jego trzęsących się ust i nabiegłych krwią policzków dobyło się takie wycie, jakiego nie powstydziliby się ten sam, ukarany kopnięciem przez swojego pana za poprzednie skomlenie. Tymczasem lira dźwięczała i grała, czasem za wcześnie, a czasem za późno. Co jednak zdziwiło Policlesa najwięcej, to wpływ wykonania na audytorium. Każdy Grek był doskonałym krytykiem i nie żałował gwizdania, jak nie skąpił pochwał. Wielu znacznie lepszych śpiewaków, niż ten głupi pyszałek, zeszło wśród obelg i złorzeczeń ze sceny. A teraz, kiedy ów człowiek zamilkł i otarł pot, lejący się obficie z jego tłustego oblicza, całe zebranie wpadło w szal zachwytu. Pasterz chwycił się rękoma za głowę, czując, że odchodzi od zmysłów.

Była to chyba jakaś straszna zmora muzyczna, a on za chwilę obudzi się ze snu, który

będzie wspominać z uśmiechem. Ale nie; postacie były z krwi i kości, twarze należały do jego znajomych, a okrzyki zachwytu, brzmiące w jego uszach, wydawali słuchacze, zebrani w teatrze olimpijskim. Cały zespół grał już swoje role, jedni mruźli, drudzy wyli, inni uderzali kijami o ławki, a ze wszystkich stron dochodził śpiew, potężny jak huragan i słowa: „Niezrównany! Boski!”, dobywające się z płuc wyćwiczonej falangi, która swój zachwyty wyrażała w tonach i której zjednoczone głosy panowały nad zgłębkiem, jak wycie wichru panuje nad rykiem morza! To było chyba szaleństwo - nieuchronne szaleństwo! Jeśliby to wszystko działo się na prawdę, trzeba by przyjąć, że sprawiedliwość w osądzaniu śpiewu już w Grecji nie istnieje. Sumienie Policlesa nie pozwoliło mu milczeć. Stanąwszy na ławce, ruchem rąk i potężnym głosem protestował z całej siły przeciw szalonemu sądowi audytorium.

Zrazu, wśród ogólnego zgłębku, nie zwrócono na niego uwagi. Głos jego niknął w powszechnym wyciu, które powstawało co chwilę, za każdym ukłonem i uśmiechem tłustego śpiewaka. Ale stopniowo ludzie wokół Policlesa przestawali klaskać i przyglądali mu się zdumieni. Cisza zataczała coraz większe kręgi, aż wreszcie całe audytorium zamilkło, wpatrzone w tę dziką, wspaniałą postać, która protestowała wciąż ze swojego miejsca przy drzwiach.

- Szaleńcy! - wołał. - Dlaczego klaszczecie? Na czyją cześć wznosicie okrzyki? To ma być muzyka? Czyż miauczenie kota godne jest olimpijskiej nagrody? Ten człowiek nie ma pojęcia o śpiewie! Jesteście albo głusi, albo szaleni. Wstydzę się za was i waszą głupotę!

Żołnierze podbiegli, aby go ściągnąć z ławki, całe audytorium ogarnął zamęt; śmielsi popierali okrzykami słowa pasterza, inni wołali, aby go wyrzucić z budynku. Tymczasem upojony śpiewak, oddawszy lirę swemu czarnemu służącemu, wypytywał stojących wokół niego na scenie, o powód zgłębku. Ostatecznie Herold, obdarzony niezwykle donośnym głosem, wystąpił naprzód i oznajmił, że osoba, na końcu sali, pozbawiona widocznie rozsądku i nie zgadzająca się na ocenę reszty audytorium, może wystąpić na scenę i jeśli się ośmieli, przedstawić własne zalety, aby zatrzeć wrażenie wspaniałego i niezwykłego wykonania, które wszyscy mieli przyjemność usłyszeć przed chwilą.

Policles zerwał się na nogi na to wyzwanie, a że tłum zrobił mu zaraz wolne przejście, znalazł się w minutę później przed ciekawą ciżbą, przybrany w swój prosty ubiór, z zniszczoną i zużytą lutnią w dłoni. Stał przez chwilę, próbując strun i nastrajając niektóre z nich, a potem, wśród śmiechów i żartów ze strony Rzymian zajmujących pierwsze ławki,

zaczął śpiewać.

Był zgoła nieprzygotowany do występu, ale uczył się improwizować, śpiewając niejednokrotnie dla własnej przyjemności. Mówił o kraju Elidy, umiłowanym przez Jowisza, gdzie zebrali się tego dnia, o wielkich nagich stokach gór, o niknących szybko cieniach obłoków, o błękitnej wstędze rzeki, o świeżym powietrzu na wyżynach, o chłodnych nocach i piękności ziemi i niebios. Wszystko to było proste i dziecinne, ale chwyciło za serce Olimpijczyków, gdyż mówiło o kraju znanym przez nich i kochanym. A jednak, kiedy umilkł, zaledwie kilku odważyło podziękować mu oklaskiem, a słabe ich głosy pokryła burza ryków i świstów jego przeciwników. Cofnął się przerażony na tak niezwykle przyjęcie, a miejsce jego zajął natychmiast, przebrany na niebiesko, rywal. Jeśli poprzednio śpiewał źle, to teraz jego wykonanie było wprost ohydne. Wrzaski, wycia, przeraźliwe i niezgodne z akompaniamentem tony, tworzyły kakafonię, która nie zasługiwała na miano śpiewu. A jednak, ilekroć przerwał, dla nabrania oddechu lub otarcia potu z czoła, zrywała się burza oklasków na audytorium. Policles ukrył twarz w dłoniach i prosił Boga, aby nie oszalał. Potem, kiedy skończyło się to okropne przedstawienie i okrzyki zachwytu świadczyły jasno, że tłum domagał się nagrody dla tego oszusta, strach przed audytorium, nienawiść, jaką uczuł do tego pokolenia głupców i tęsknota za ciszą i spokojem łąk, opanowały go z przemożną siłą. Precisnął się przez tłumy i wydostał się na pusty plac. Jego dawny rywal i przyjaciel, Koryntyjczyk Metas, czekał tam, zaniepokojony.

- Prędko Policlesie, prędko! - zawołał. Mój kucyk przywiązany jest poza tymi drzewami. Siwy, z czerwoną uprzężą. Pędź, co koń wyskoczy, gdyż jeśli cię złapią, śmierć twoja lekka nie będzie.

- Śmierć nie będzie lekka? Co to ma znaczyć Metasie? Któż to zatem ten człowiek?

- Na Jowisza! Więc nie wiesz? Gdzie żyjesz? To cesarz Nero. Nigdy ci nie przebaczy tego, co powiedziałaś o jego głosie. Prędko człowieku, prędko, inaczej może być za późno!

W godzinę później pasterz znajdował się już daleko, w drodze do swojego domku wśród wzgórz, a w tym samym czasie Cesarz uzyskawszy wieniec olimpijski za niezrównany i wspaniały swój śpiew, Wypytywał się, ze zmarszczoną brwią o człowieka, który odważył się na tak pogardliwe słowa krytyki.

- Przeprowadźcie mi go tu natychmiast! - rzekł. - Niech Marcus czeka z nożem i rozpalonym do czerwoności żelazem.

- Łaski, wielki Cesarze! - rzekł Arsenius Platus, jego adiutant - Człowiek zniknął. Krążą o nim dziwne pogłoski.

- Pogłoski? - krzyknął rozgniewany Nero. - Co chcesz powiedzieć przez to, Arseniuszu? Twierdę, że ten człowiek był tępym nieukiem, z manierami chłopca i głosem pawia. Twierdę, że między ludem jest więcej jeszcze winnych. Słyszałem na własne uszy, jak wznosili okrzyki na jego cześć, kiedy skończył swoją śmieszna odę. Jestem prawie zdecydowany spalić miasto, aby sobie zapamiętali moje odwiedziny!

- Nie ma w tym nic dziwnego, że uzyskał ich uznanie, Cesarze, - rzekł oficer. - Z tego co słyszałem, wnoszę, że nie byłoby dla ciebie żadną hańbą, gdybyś nawet uległ swojemu współzawodnikowi.

- Uległ? Oszalałeś Arseniuszu. Co znaczą te słowa?

- Nikt nie wie, kto to taki, wielki cesarze! Przybył od strony gór i zniknął w górach. Zauważyłeś zapewne jego dziką i dziwnie piękną twarz? Mówią, że wielki bożek Pan zstąpił na ziemię, aby się raz jeszcze zmierzyć z człowiekiem śmiertelnym.

Twarz Nerona rozjaśniła się natychmiast.

- Rzecz prosta, Arseniuszu! Masz słuszność! Nikt inny nie miałby odwagi wystąpić przeciw mnie. Jakaż to nowina dla Rzymu! Wyślij gońca jeszcze tej nocy, Arseniuszu, aby mieszkańcy dowiedzieli się, jak dzielnie się spisał ich cesarz w Olimpi!

PRZEZ MGŁĘ

Był roslým, piegowatym, o kędzierzawej czuprynie, mieszkańcem pogranicza i pochodził w prostej linii z plemienia, zajmującego się kradzieżą bydła w Liddesdale. Mimo obciążenia dziedzicznego był prawym i uczciwym obywatelem, jak się patrzy, radcą miejskim w Melrose, dostojnikiem Kościoła i prezesem miejscowej Y.M.C.A. Nazywał się Brown - imię jego widniało wydrukowane jako „Brown i Zandiscide” na szyldzie jednego z wielkich sklepów korzennych na ulicy High Street: Żona jego, Madzia Brown nosiła przed ślubem nazwisko Armstrong i pochodziła ze starej rodziny wiejskiej, osiadłej w pustkowiu Taviothead. Była niewielkiego wzrostu, o ciemnej cerze i czarnych oczach, a temperament miała, jak na Szkotkę, bardzo wrażliwy. Nie mogło być większego kontrastu, jak między tym wielkim, bladym mężczyzną i czarną kobietką, ale oboje wywodzili się z tej ziemi, jak daleko sięgnąć można było pamięcią. Razu pewnego - w pierwszą rocznicę ślubu - wybrali się oboje na wycieczkę do wykopalisk rzymskiego fortu w Newstead. Miejsce to nie odznaczało się zbytnią malowniczością. Na północnym brzegu Tveedy, gdzie rzeka tworzy zakręt, znajduje się łagodna spadzistość, zdatna pod uprawę. Biegną wzdłuż niej rowy prowadzące do rozkopów, w których tu i ówdzie widać szczątki starych murów po fundamentach dawnych wałów obronnych. Przestrzeń to dosyć duża, gdyż cała opisana połać kraju ma obszar pięćdziesięciu morgów, z których fort zajmuje piętnaście. Oglądnięcie jej nie było połączone z trudnościami, gdyż Mr. Brown znał właściciela gruntu. Pod jego opieką spędzili długi, letni wieczór na zwiedzaniu rowów, studni, wałów i całego szeregu tych osobliwości, które czekały na przetransportowanie do edynburskiego muzeum starożytności. Tego dnia właśnie wygrzebano klamrę od kobiecego paska i właściciel rozwodził się nad tym wypadkiem, kiedy oczy jego padły na twarz pani Brown.

- Żona pańska jest zmęczona - rzekł. - Może odpoczniemy chwilkę?

Brown spojrział na żonę. Rzeczywiście była bardzo blada, a czarne jej oczy pały dziko.

- Co ci to, Madziu? Zmęczyłaś się. Czas wrócić do domu.

- Nie, nie, John, chodźmy dalej. To cudowne. Jestem jak w zaczarowanym kraju. Wszystko to zdaje mi się tak bliskim, tak bardzo ze mną związanym.

Jak długo przebywali tu Rzymianie, Mr. Curmin-gham?

- Ładny okres czasu. Gdybyś pani widziała doły i kucharzy, na popiół, zrozumiałabyś, że trzeba było długich lat na ich wypełnienie.

- A czemu stąd poszli?

- Widocznie musieli. Ludność okoliczna nie mogła ich znieść dłużej, powstała i podpałiła fort. Może pani obejrzeć ślady ognia na głazach.

Ciałem kobiety wstrząsnął lekki dreszcz.

- Dzika noc - noc pełna trwogi - rzekła. - Niebo musiało być czerwone tej nocy - a i te szare kamienie może były również czerwone.

- Tak, sądzę że były czerwone - rzekł jej mąż. - Dziwna rzecz, Madziu... może to wpływ twoich słów, ale widzę wszystko tak jasno, jakbym patrzył na to własnymi oczami. Łuna odbijała się w wodzie.

- Tak, łuna odbijała się w wodzie. Dym dusił. A dzicy wyli.

Stary gospodarz zaczął się śmiać.

- Pani napisze historię o starym forcie - rzekł. - Pokazywałem wielu ludziom jego szczątki, ale nikt mi o nim nie mówił tak barwnymi słowami. Trzeba mieć odpowiedni dar.

Posunęli się kilka kroków wzdłuż brzegów szosy; po prawej stronie od nich znajdowała się studnia.

- Studnia ta miała czternaście stóp głębokości - mówił gospodarz. - Jak pani myśli, cośmy znaleźli na jej dnie? Szkielet człowieka, a obok niego oszczep. Przypuszczam, że dzierżył go w chwili śmierci. Ale skąd wziął się człowiek z oszczepem, na dnie studni, czternaście stóp głębokiej. Nie pogrzebali go tam, gdyż mieli zwyczaj trupy palić. Cóż pani na to?

- Skoczył tam, aby nie dostać się w ręce dzikich - rzekła kobieta.

- Tak, to bardzo prawdopodobne żaden profesor z Edynburga nie podałyby lepszego wytłumaczenia. Szkoda, że pani tu nie ma, kiedy rozwiązujemy podobne zagadki. Oto ołtarz, odkopany w zeszłym tygodniu. Jest na nim napis. Mówią, że łaciński... Mieszkańcy tego fortu dziękują w krótkich słowach za opiekę bóstwa.

Przyglądali się badawczo zniszczonemu głazowi. Na jego szczycie widniało, głęboko wykute, wykute „VV”.

- Co ma znaczyć „VV”? - zapytał Brown.

- Nikt nie wie - odparł przewodnik.

- „Valeria, Victrix” - rzekła kobieta cichym głosem. Twarz jej była blada. Oczy błędziły gdzieś daleko, jak oczy człowieka, który patrzy przez zawarte wrzeczadze minionych stuleci.

- Co ci jest? - rzekł jej mąż ostrym tonem. Zadrżała, jakby ją obudzono ze snu.

- O czym mówiliśmy? - zapytała.

- O literach „VV” na kamieniu.

- Była to bez wątpienia, nazwa legionu, który wystawił ołtarz.

- Tak, lecz pani podała jakąś nazwę specjalną.

- Czy tak? Ale to nie ma sensu. Skądżebym znała jego nazwę.

- Powiedziała pani, jeśli się nie mylę Victrix.

- Tak przypuszczam! Miejsce to budzi we mnie dziwne uczucia. Zdaje mi się, jakbym nie była sobą, lecz kimś innym.

- Tak, to miejsce nieprzyjemne - rzekł jej mąż, rozglądając się dokoła z wyrazem jakby obawy w swych śmiałych, szarych oczach. - Mam podobne uczucie. Sądzę, że najlepiej zrobimy, jeśli powiemy Mr. Curmingham: „dobranoc” i wrócimy do Melrose, nim noc zapadnie.

Nie mogli otrząsnąć się z przykrego wrażenia, jakie pozostawiła w ich duszy wycieczka do wykopalisk. Zdawało się, że z tych wilgotnych rowów przeniknęły w ich żyły jakieś niezdrowe wyziewy. Przez cały wieczór byli milczący i zamyśleni, ale z ulotnych słów można było wnosić, że myśleli o tym samym przedmiocie. Brown spędził niespokojnie noc, śniąc dziwny sen, tak żywy, że zbudził się, okryty potem, jak spłoszony koń. Opowiadał go żonie, kiedy siedzieli rano przy śniadaniu.

- Widziałem wszystko jak na dłoni, Madziu - mówił. - Było to bardziej rzeczywiste, niż sama rzeczywistość. Czuję jeszcze krew na rękach.

- Opowiedz mi - opowiedz wszystko dokładnie - rzekła.

- Kiedy to się zaczęło, znajdowałem się na pochyłości wzgórza. Leżałem na brzuchu, na nie uprawianej ziemi, porośniętej krzakami dzikiego zielska. Dokoła mnie było całkiem ciemno, mogłem jednak słyszeć chrząkanie i oddechy ludzi. Leżało ich, jak się zdaje, całe mnóstwo wokół mnie, ale nie widziałem nikogo. Czasami odezwał się cicho szcęk broni, a potem szereg głosów, wołających: Cicho! Dzierżyłem w ręce sękatą maczugę, która na końcu była nabijana gwoździami. Serce biło mi głośno, gdyż czułem, że zbliża się chwila wielkiego niebezpieczeństwa i podniecenia. Raz upuściłem maczugę i wówczas odgłosy wokół mnie w ciemności zawołały znowu: Cicho! Wyciągnąłem rękę i namacałem nogę leżącego przede mną człowieka. Z obu stron, obok mnie, leżeli również jacyś ludzie. Ale nie mówili nic.

Wtem zaczęliśmy się poruszać. Cały stok wzgórza zdawał się przesuwac ku dołowi. Na dole płynęła rzeka, a na niej stał wysoki, drewniany most. Po drugiej stronie mostu widać było liczne światła - Płonące na wale pochodnie. Czołgający się ludzie posuwali się ku mostowi.

Cisza panowała zupełna, nie było słyszeć najmniejszego szmeru. Wtem rozległ się wśród nocy krzyk człowieka ugodzonego śmiertelnie. Odbił się donośnym echem, a zanim

dał się słyszeć ryk, wychodzący z tysiąca rozwścieczonych gardzieli. Biegłem. Wszyscy biegli; jasne, oślepiające, czerwone światło strzeliło w górę, a rzeka przybrała barwę szkarłatu. Mogłem się teraz przyjrzeć moim towarzyszom. Były to raczej diabły, niż ludzie, dzikie postacie, przybrane w skóry, z rozwianymi włosami i brodami. Byli pijani wściekłością i biegli w podskokach, z rozwartymi ustami, wywijając rękami, a czerwone płomienie oświetlały ich twarze. Biegłem także i tak, jak inni, wylem i miotałem przekleństwa. Potem usłyszałem wielki trzask walącego się drzewna i zrozumiałem, że palisadę zerwano. Słyszałem głośny gwizd i zdawałem sobie sprawę, że strzały lecą koło mej głowy. Zszedłem w głąb fosy i ujrzałem, że ktoś podaje mi dłoń. Uchwyciłem za nią i wydostałem się na wierzch. Na wałach stali ludzie w srebrzystych zbrojach z nastawionymi oszczepami. Kilku z nas skoczyło na te oszczepy. Poszliśmy za ich przykładem i zabiliśmy żołnierzy, zanim mogli zrobić drugi raz użytek ze swojej broni. Krzyczeli głośno w jakimś obcym języku, ale nie darowano im życia. Szliśmy naprzód, jak fala, i deptaliśmy ich ciała na proch, było ich bowiem niewiele, a nas nieprzeliczona chmara.

Znalazłem się wśród budynków, z których jeden płonął. Widziałem płomienie, wydobywające się z dachu. Podbiegłem i znalazłem się sam. Ktoś biegł przede mną. Była to kobieta. Chwyciłem ją za rękę i zwróciłem jej twarz ku światłu. Jak sądzisz kto to był, Madziu?

Żona jego zwilżyła językiem suche wargi.

- To byłem ja - rzekła. Spojrzał na nią zdumiony.

- Zgadłaś - rzekł. To byłaś ty. Nie ktoś podobny - ale ty sama. Widziałem ten sam wyraz w jej przestraszonych oczach. Byłaś biała, piękna, czarująca w świetle pożaru. Opanowała mnie jedna myśl - nieść cię gdzieś daleko, zatrzymać przy sobie na zawsze, gdzieś w domu, za górami. Drapałaś mi twarz paznokciami. Przerzuciłem cię przez ramię i starałem się znaleźć drogę, z pośród płonących domów, w ciemność z powrotem. I teraz stało się coś, co pamiętam najlepiej.

- Jest ci niedobrze, Madziu? Czy mam przestać? Wielki Boże! Masz ten sam wyraz twarzy, jak w moim śnie, ubiegłej nocy. Krzyczałaś. On wpadł na oświeconą pożarem przestrzeń. Głowę miał nie przykrytą, włosy czarne i kręjące się; w ręku dzierżył nagi miecz, krótki, szeroki, niewiele większy od sztyletu. Zamierzył się na mnie, ale poślizgnął się i upadł. Przytrzymałem cię jedną ręką, a drugą...

Żona jego zerwała się na równe nogi, z wykrzywioną twarzą.

- Marcus! - krzyknęła. - Mój piękny Marcus! Oh! Zwierzę! Zwierzę! - Padła bez zmysłów na stół, strącając na ziemię filizanki.

Nie wspominali nigdy o tym dziwnym, odosobnionym epizodzie w ich małżeńskim pożyciu.

Na jedną chwilę uchyliła się zasłona przeszłości i poza nią ujrzeli coś z dawnego, zapomnianego życia. Ale zasłona opadła znowu i nie rozwarła się już nigdy. Żyją życiem codziennym - on w swoim sklepie, ona przy gospodarstwie - a jednak nowe i szerokie horyzonty otworzyły się przed nimi od letniego wieczoru, spędzonego w zmurszałym forcie rzymskim.

OBRAZOBURCA

Było to o świcie pewnego marcowego ranka, w 92 r. po Chrystusie. Długa Semita Alta roiała się już od ludzi, kupujących i sprzedających, przechodniów i interesantów, gdyż Rzymianie wstawali tak wcześnie, że niejeden z patrycjuszy już o szóstej rano przyjmował swoich klientów. Był to dobry, republikański zwyczaj, którego przestrzegali szanujący tradycję, ale z chwilą, kiedy zaczęło się wkradać zamięłowanie zbytków, noc poświęcona rozkoszy i ucztowaniu nie należała już do rzadkości. Toteż ludzie, którzy nauczyli się hołdować nowoczesnym przyjemnościom, a przestrzegali dawne zwyczaje, godzili jedno z drugim i po nocy, spędzonej na zabawie, rozpoczynali od razu dzień pracy, poświęcając się, mimo bólu głowy i senności, obowiązkom, wypełniającym życie rzymskiego szlachcica.

Tak zrobił tego marcowego ranka i Emilius Flaccus. Spędził on wraz ze swoim przyjacielem, senatorem Caiusem Balbusem, noc ubiegłą na jednej z tych nudnych uczt, jakie cesarz Domicjan wyprawiał na Palatynie dla swych wybranych towarzyszy. Zatrzymawszy się przed portalem willi Flaccusa, stanęli obaj pod portykiem, przybranym w kwiaty pomarańczy, który prowadził do peristilium i pewni wzajemnej dyskrecji nie szczędzili sobie uwag krytycznych po długim, przymusowym milczeniu w czasie smutnej uczy.

- Gdyby przynajmniej dobrze karmił swoich gości - rzekł Balbus, mały, rumiany, choleryczny szlachcic, z żółtawymi, gniewnymi oczkami. - Ale cośmy jedli? Dalibóg, zapomniałem. Jaja, ryby, kilka ptaków, a potem jego wieczne jabłka.

- Z czego - rzekł Flaccus - on jadł tylko jabłka. Trzeba mu przyznać, że bierze jeszcze mniej niż daje. Nie powiedzą o nim, jak o Witeliuszu, że przejadł cesarstwo.

- Nie, ani o jego pragnieniu. To mocne wino Sabińskie, którym nas raczył, kosztowało zaledwie kilka sestercji, amfora. Jest to zwyczajny napój woźniców, który dostaniesz w każdej winiarni. Tęskniłem w czasie uczy za szklanką mojego Falerna lub słodkiego wina, które zapieczętowano w butelkach w roku zdobycia Jerozolimy przez Tytusa. Ale możemy sobie i teraz przepłukać gardła?

- Nie, chodź lepiej ze mną i napij się przed rozpoczęciem pracy gorzkiego lekarstwa, które mi przyrządza lekarz grecki Stefanus, które usuwa ból głowy. Co? Klienci na ciebie czekają? Trudno, a więc zobaczymy się później w senacie.

Patrycjusz wszedł do atrium, jaśniejszego od rzadkich kwiatów i rozbrzmiewającego śpiewem ptaków egzotycznych. U wejścia stał Lebs, mały niewolnik Nubijski, w białej tunice i w zwoju, trzymając, jak nakazywał mu obowiązek, tacę ze szklankami w jednej ręce, a w drugiej fłaszeczkę, napełnioną żółtawo zabarwionym płynem. Pan domu nalał sobie kielich

gorzkiego, silnie pachnącego lekarstwa i miał go właśnie wypić, kiedy, spojrzawszy na służbę, zauważył jej zaniepokojenie. Czytał je na twarzach wszystkich - w przerażonych oczach czarnego chłopca, na wzburzonym obliczu dozorca atrium i przygnębionej, milczącej służby z procuratorem czyli zarządcą domu na czele, który przybył z nią przywitać pana. Lekarz Stefanus, Cleos, lektor aleksandryjski i doradca Promus odwrócili głowy, unikając jego pytającego wzroku.

- Co się z wami stało? Mówcie, na Plutona! - zawołał zdziwiony senator, zniecierpliwiony już uprzednio całonocną ucztą. - Czemu się na mnie gapicie? Stefanus, Vacculus - czy coś zginęło? Pójdź tu Promusie, który jesteś odpowiedzialny za służbę! Co się stało? Czemu unikacie mojego wzroku?

Rosły dozorca, na którego tłustej twarzy malował się strach i niepokój, wskazał ręką na stojącego obok niego służącego.

- Panie mój, za atrium odpowiada Sergiusz. Jego obowiązkiem jest opowiedzieć ci o tym strasznym wypadku, który się przytrafił w czasie twojej nieobecności.

- Nie, Datus jest sprawcą. Przyprawadźcie go i niech się tłumaczy!

Cierpliwość patrycjusza wyczerpała się.

- Mów natychmiast, drabie! - krzyknął rozgniewany. - Jeszcze minuta, a każę cię zawlec do ergastulum i zakuć w dyby, a wówczas nauczysz się szybciej wypełniać rozkazy. Mów, powtarzam i nie ociągaj się.

- Chodzi o Venus - wyjąkał służący - o Venus grecką, Praksytelesa.

Senator wydał okrzyk przestachu i pobiegł w kąt atrium, gdzie na małym ołtarzu, zasłoniętym jedwabną draperią, stała kosztowna statua, największy skarb w jego zbiorach - a może i w całym świecie. Odsunął zasłonę i osłupiał z gniewu na widok zbeszczeszczonej bogini. Czerwona, wypełniona wonnościami lampa, która paliła się przez nią zawsze, leżała rozbita; ogień płonący na ołtarzu, został zagaszony, a wieńce kwiatów odrzucone na bok. Ale, co najgorsze - niesłychane świętokradztwo! - piękne, nagie ciało bogini, wykute z błyszczącego; pantelickiego marmuru, białe i upajające, jak w chwili, kiedy przed pięciuset laty powołał je do życia mistrz grecki, wskazywało ślady brutalnych ciosów. Trzy palce z wdziękiem wyciągniętej ręki leżały odtracone na piedestale obok posągu. Czarna plama na delikatnej piersi zdradzała, gdzie padło na marmur uderzenie. Emilius Flaccus, najsubtelniejszy i najlepszy znawca w Rzymie stał, dysząc i jęcząc na widok uszkodzonego arcydzieła. Potem z twarzą wykrzywioną z gniewu zwrócił się do swoich niewolników, ci jednak patrzyli w postawie pełnej głębokiego szacunku w stronę wejścia do peristilium. Obejrzał się i gniew jego prysnął w jednej chwili. Miejsce jego zajęła pokora, gdyż poznał

przybysza natychmiast.

Gościem był mężczyzna lat czterdziestu trzech, z twarzą gładko wygoloną, o wielkiej głowie, szeroko rozwartych oczach, małym, ładnym nosie i karku byka, charakterystycznym dla całej jego rodziny. Wszedł do peristilium niedbałym, kołyszącym się krokiem, jakby do własnego domu i stał, z rękami opartymi na biodrach, spoglądając na pochylonych niewolników i pana ich z wyrazem szyderstwa na zarumienionej, brutalnej twarzy.

- Cóż to, Emilusie? - rzekł. - Sądziłem, że w domu twoim panują wzorowe porządki. Czyżby coś zginęło?

- Niczego nam nie brak od chwili, kiedy Cezar raczył wstąpić pod mój dach - rzekł dworak. - Zaiste, to przyjemna niespodzianka.

- Kiedyście mnie dziś pożegnali - rzekł Domicjan - nie chciałem się już kłaść spać i przyszło mi na myśl, że lepiej odetchnąć świeżym powietrzem, a przed spacerem zaglądnąć do ciebie i obejrzeć tę grecką Venus, o której tyle mówiłeś w czasie uczty. Ale, zaprawdę, zamieszanie, jakie wywołałem, zdaje się świadczyć, że wybrałem się nie w porę.

- Nie, drogi panie nasz; nie mów tego. Przyznaję jednak, że w chwili twojego wejścia byłem bardzo zmartwiony, a powodem mego zmartwienia, jak zrzędziły losy, była właśnie statua, która wzbudziła twoje zainteresowanie. Spójrz, w jakim strasznym znajduje się stanie.

- Na Plutona i wszystkich bogów podziemnych, gdyby chodziło o mojego niewolnika, rzuciłbym go rybom na pożarcie - rzekł cesarz, wodząc po służbie, która drżała z przestachu, dzikimi oczami. - Byłeś zawsze zbyt pobłażliwy, Emilusie. Mówią, że twoje łańcuchy zjadła rdza, gdyż nigdy ich nie używasz. Ale to przechodzi wszelkie granice. Ciekaw jestem, jak postąpisz. Kogo uważasz za winowajcę?

- Za atrium odpowiada niewolnik Sergiusz - rzekł Flaccus. - Wystąp, Sergiuszu! Co powiesz na swoją obronę?

Drżący ze strachu niewolnik podeszedł do swego pana.

- Ośmielam się zwrócić twą uwagę panie, że winowajcą jest chrześcijanin Datus.

- Datus, któż to taki?

- Panie mój, to najęty w twoim domu zamiatacz. Nie wiedziałem, że jest jednym z tych strasznych ludzi, gdyż nie byłbym go tu wpuścił. Przyszedł z miotłą, aby oczyścić klatki dla ptaków. Oczy jego padły na Venus i w jednej chwili rzuciwszy się na posąg, ugodził go dwukrotnie drewnianą miotłą. Potem obezwładniliśmy go. Ale niestety! Niestety! Było już za późno, gdyż nędznik odtrącił bogini palce.

Cesarz uśmiechnął się złowroźnie, a twarz patrycjusza pobiadła z gniewu.

- Gdzież on jest? - zapytał.
- W ergastulum, wasza cześć, z furcą na szyi.
- Przyprowadźcie go tutaj i każ się zgromadzić służbie!

W kilka minut później w głębi atrium zebrał się tłum służebnych i niewolników, należących do domostwa każdego bogatszego szlachcica rzymskiego. Był między nimi arcarius, sprawdzający rachunki, z stylum poza uchem, praegustator, który kosztował wszystkich potraw, aby uchronić pana swego przed trucizną, a razem z nim jego poprzednik, teraz na wpół żywy idiota, którego przyprawiła o taki stan przesłana przez Canidię, a spożyta przez niego przed dwudziestu laty trucizna, piwniczny, oderwany od swoich gąsiorów, kucharz, wywoływacz, który zawiadamiał o przybyciu gości. Cubicularius, który utrzymywał w domu porządek, structor, który nakrywał stoły, carptor, który krajał mięso, cinerarius, który zapalał światła - wszyscy ci i wielu innych, przybyli zaciekawieni lub strwożeni, aby być świadkami sądu nad Datusem. Za nimi stały, szepcząc i paplając z sobą, licznie zebrane Lalagi, Marie, cerusy i Amaryllidy, zajęte w pralni i przędzalni i wspinając się na palcach wychylały zdziwione i piękne twarzyczki z poza pleców mężczyzn. Przez szeregi niewolników przecisnęło się dwóch rosłych pacholków, prowadząc winowajcę. Był to drobny, czarny, o grubych rysach twarzy i zwichrzonej brodzie, mężczyzna, którego dzikie oczy błyszczały niesamowitym światłem, świadczącym o jakiejś silnej namiętności. Ręce miał związane z tyłu, a na szyi jego widać było ciężki, drewniany kołnierz, zwany furca, który wkładano na krnąbrnych niewolników. Krwawiąca rana na policzku świadczyła, że nie oszczędzono mu uderzeń, przed ostatecznym obezwładnieniem go.

- Czy jesteś zamiataczem Datusem? - zapytał patrycjusz.

Więzień wyprostował się dumnie. - Jam jest Datus - rzekł.

- Czyś ty uszkodził mój posąg?

- Tak jest.

Śmiałość, z jaką odpowiadał na pytania, budziła szacunek.

- Czemu to uczyniłeś? - zapytał zaciekawiony pan jego.

- To było moim obowiązkiem.

- Więc obowiązkiem twoim było zniszczyć przedmiot należący do twego pana?

- Tak jest, gdyż jestem chrześcijaninem. - Oczy jego zabłysły. - Jeden jest Bóg wiekuisty, a wszystko inne, to drzewo i kamień. Cóż wspólnego ma ta naga bezwstydnica z tym, którego płaszczem jest firmament niebieski a ziemia podnóżkiem? Zniszczyłem posąg, składając cześć prawdziwemu Bogu.

Domicjan spojrział z uśmiechem na patrycjusza.

- Nie poradzisz sobie z nim - rzekł. - Mówią tak nawet na arenie. I nie przekona ich żaden filozof.

Nawet mnie wzbraniają się składać ofiary. Szkoda słów. Rozprawilibym się z nim krótko.

- Jakaż jest rada cezara?

- Dziś odbywają się igrzyska. Chcę się pochwalić lampartem, którego mi przysłał z Numidii król Juba. Zobaczymy, jak zachowa się ten niewolnik na widok głodnego lamparta.

Patrycjusz wahał się. Był on dla służby zawsze prawdziwym ojcem. Wszelka myśl o krzywdzeniu była mu wstrętną. Może i teraz dałoby się ocalić tego fanatyka, gdyby okazał skruchę. W każdym razie należało spróbować.

- Zasłużyłeś na śmierć - rzekł. - Posąg ten wart był sto razy więcej, niż twoje życie.

Niewolnik spojrzał śmiało na swego pana.

- Nie lękam się śmierci - rzekł. - Siostra moja Candida zginęła na arenie i ja gotów jestem umrzeć w ten sam sposób. Prawdą jest, że uszkodziłem posąg, ale gotów jestem dać ci w zamian coś stokrotnie cenniejszego. Wiara, którą głoszę, zastąpi ci bezwartościowego bałwana.

Cesarz roześmiał się.

- Nie dasz sobie z nim rady, Emiliusie - rzekł. - Znam ich od dawna. Chce umrzeć, sam się tego domaga. Po cóż go zatem pragniesz ocalić?

Ale patrycjusz wahał się wciąż jeszcze. Chciał zrobić ostatnią próbę.

- Zdejmijcie mu więzy - rzekł do strażników. - Zdejmijcie furce z jego szyi! Dobrze. Słuchaj, Datusie, chcę ci dać dowód zaufania. Daruję ci karę, jeśli uznasz, żeś zblądził i dasz dobry przykład zebranej tu służbie mojej.

- W jaki sposób mam uznać, żeś zblądził? - zapytał niewolnik.

- Złóżysz pokłon bogini i poprosisz ją o przebaczenie za popełnione świętokradztwo. Wówczas może daruję ci karę.

- Zaprowadźcie mnie przed nią - rzekł chrześcijanin.

Emilius Flaccus spojrzał na Domicjana triumfującym wzrokiem. Łagodnością i spokojem dokazał tego, czego nie mogła dokazać srogość cesarza.

Datus podszedł do zbeszczeszczonej Venus. Potem jednym ruchem wyrwał kij z ręki stojącego przy nim strażnika, skoczył na piedestał i ugodził w przepiękny - posąg marmurowy. Prawa ręka bogini upadła z trzaskiem na ziemię. Jeszcze jedno uderzenie, a lewą spotkał los podobny. Flaccus krzyknął zgrozą zdjęty, a służba rzuciła się na szalejącego obrazoburcę i oderwała go od jego bezbronnej ofiary. W sali rozległo się echo brutalnego

śmiechu Domicjana.

- I cóż przyjacielu? - zawołał. - Uwierzyłeś swemu cesarzowi? Pojąłeś, że łagodnością nic nie wskórasz z chrześcijanami?

Emilius Flaccus otarł pot z czoła.

- Należy do ciebie, wielki cesarze. Czyń z nim, co chcesz.

- Niechaj go zaprowadzą do cyrku na godzinę przed rozpoczęciem igrzysk - rzekł cesarz. - Noc była piękna, Emiliusie. Moja liguryjska galera czeka na rzece. Pójdź, pojedziemy na spacer do Ostii. Wypoczniesz, zanim sprawy państwa powołają cię na posiedzenie senatu.

NAJAZD HUNOW

Stan, w jakim znajdowała się religia, w połowie czwartego stulecia, budziła zgorznienie i wstyd. Pełna pokory i znosząca bez szemrania upokorzenia w czasach niedoli, stawiała się w miarę jej rozpowszechnienia bezwzględna, nie przebiegająca w środkach i nie licząca się z potrzebami ogółu. Pogaństwo jeszcze nie umarło, ale szybko chyliło się do upadku, a jedynymi jego wiernymi wyznawcami byli z jednej strony przedstawiciele starych rodów, z drugiej uszlachceni mieszczanie, których nazwiska związane były z ginącą wiarą w bogów. Większość ludzi zajmujących stanowisko pośrednie między tymi dwoma odłamami społeczeństwa odrzuciła raz na zawsze wierzenia ojców i pojęcie wielu bóstw zastąpiła jednym. Ale wyrzekłszy się błędów politeizmu, wyrzekła się i jego dobrych stron, przede wszystkim zaś pobłażliwości i życzliwości w ocenie innych wyznań religijnych. Surowa powaga, z jaką odnosili się chrześcijanie do własnej teologii, zmuszała ich do szczegółowych badań i definiowania każdej spornej kwestii, ale brak jakiegokolwiek władzy centralnej, któraby tego rodzaju określenia czyniła prawomocnymi, stał się powodem wystąpienia stu herezji. Każda z nich walczyła o własne zapatrywania, a każdy silniejszy odłani schizmatyków starał się dla dobra samej wiary, dzięki przekonaniu o wartości głoszonej przez nie nauki, zmusić słabszych do ustąpienia. W rezultacie na Wschodzie powstało ogromne zamieszanie i nie kończące się nigdy spory.

Aleksandria, Antiochia i Konstantynopol stały się terenem teologicznych utarczek. Północna Afryka rozdarta była na dwoje dzięki wystąpieniu Donatystów, którzy podtrzymywali swą niezwykłą schizmę żelaznymi cepami i bojowym okrzykiem „Chwała Panu!” Ale pomniejsze, lokalne spory nie miały żadnego znaczenia w porównaniu z zasadniczymi różnicami, jakie zachodziły w zapatrywaniu katolików i arianów, a które rozdzierały na dwoje każdą osadę i dzieliły każdą rodzinę od chaty aż do pałacu. Wzajemnie się zwalczające doktryny Huomusianów i Homoiousianów, opierające się na metafizycznych różnicach tak subtelnej natury, że stwierdzić je mógł tylko umysł wyszkolony, zwróciły przeciw sobie biskupów i całe zrzeczenia. Z obu stron polał się obficie atrament teologów i krew fanatyków, a spokojnych wyznawców religii Chrystusa przyprawiało o dreszcz wstrętu stwierdzenie, że wiara ich mogła stać się powodem takich walk i takiego krwi rozlewu, o jakim nie wspominały dzieje żadnej religii świata. Wielu z nich, wstydem i smutkiem przejętych usunęło się na pustynię libijską lub na stepy czarnomorskie, aby oczekiwać tam wśród modłów, po wyrzeczeniu się rozkoszy ziemskich, powtórnego przybycia Zbawiciela, którego spodziewali się wszyscy. Ale na pustyni nawet dochodziło ich echo dalekich swarów,

to też pustelnicy przyglądali się z pode łba przechodzącym obok ich jaskiń podróżnym, których podejrzewali o zetknięcie się z zarazą Athanazjusza lub Ariusza.

Takim pustelnikiem był Simeon, o którym piszę. Jako Trynitariusz i katolik, zgorszony był bezwzględny prześladowaniem Arian, przypominającym może tylko gwałty, jakich ci sami Arianie dopuszczali się w dniach ich potęgi na swoich braciach w Chrystusie. Zniechęcony ciągłymi swarami i przekonany, że koniec świata już bliski, opuścił dom swój w Konstantynopolu i powędrował za Dunaj do Dacji, szukając między osadnikami gockimi miejsca, gdzieby był wolny od niekończących się nigdy dysput. Posunąwszy się jeszcze dalej na północny wschód przebył rzekę, którą dziś zwiemy Dniestrem i znalazłszy na wielkiej równinie skalisty pagórek, sklecił chatę pod jego szczytem i postanowił spędzić resztę życia na rozmyślaniach, z dala od świata. W rzece nie brakło ryb, na płaszczyźnie zwierzyny, a jagód było w bród tak, że poszukiwanie środków służących do pokrzepienia jego cielesnej powłoki i przerywających mu ćwiczenia duchowe nie stano wiło wielkich trudności.

W ustroni tej spodziewał się znaleźć zupełny spokój, ale nadzieja jego była płonna. W tydzień po przybyciu, w ciągu godziny, poświęconej ziemskiej ciekawości zbadał stoki skalistego wzgórza na którym żył. Zwróciwszy się na lewo pomiędzy krzewy mirtu i drzewa oliwne, znalazł się przed wejściem do jaskini, gdzie siedział siwobrody, siwowłosy, bezsilny starzec - również jak i on pustelnik. Człowiek ten przebywał tak długo w samotności, że prawie zapomniał mówić, w końcu jednak skoro otrząsnął się z wrażenia, pouczył Simeona, że jest greckim obywatelem, że nazywa się Paweł z Nikopolis i że wybrał się na pustynię, aby ocalić duszę i uciec przed zarazą herezji.

- Nie sądziłem bracie Simeonie - rzekł - że znajdę kogoś, kto w takim samym zbożnym celu, jak ja, zapuści się aż tak daleko. Przez szereg lat, a jest ich tak wiele, że straciłem rachubę czasu, nie widziałem na oczy człowieka, wyjąwszy jednego czy dwóch pasterzy daleko na stepie.

Z miejsca gdzie siedzieli widać było wielką falującą równinę - pokrytą trawą i błyszczącą w słońcu żywą zielenią - która rozciągała się gładka jak morze daleko na wschód. Simeon Melas przyglądał się jej z ciekawością.

- Powiedz mi, bracie Pawle - rzekł - który tu żyłeś tak długo - co się znajduje po drugiej stronie równiny?

Starzec wstrząsnął głową.

- Równina ta nie ma końca. Leży na skraju świata i graniczy z wiecznością. Przez wszystkie te lata, które tu spędziłem, nie widziałem nigdy, aby ktoś przez nią wędrował. Rzecz oczywista jednak, że gdyby się gdzieś kończyła, pojawiłby się od czasu do czasu jakiś

podróżny, zdążający ze wschodu. Tam, poza rzeką, jest rzymski posterunek w Tyras, ale dzieli nas od niego cały dzień drogi, toteż nikt nie przeszkadzał mi w rozmyślaniach.

- A nad czym rozmyślasz, bracie Pawle?

- Z początku rozmyślałem nad wieloma świętymi tajemnicami, ale teraz od dwudziestu lat zastanawiam się wciąż nad naturą Słowa. Jakież jest twoje zdanie w tej żywotnej kwestii, bracie Simeonie?-

- Zaiste - rzekł młodszy mężczyzna - nie ma tu żadnych wątpliwości! Słowo jest na pewno tylko mianem, użytym przez św. Jana dla oznaczenia Bóstwa.

Stary pustelnik ryknął z wściekłości, a jego brunatna, opalona twarz ściągnęła się w przyływie gniewu. Chwyciwszy za potężną pałkę, której używał w celach obrony przed wilkami, potrząsnął nią przed oczyma towarzysza.

- Precz stąd! Precz z mojej celi! - wrzasnął. - Więc dlatego żyłem tak długo na tym odludziu, abym się spotkał z nędznym - Trynitariuszem - wyznawcą tego draba, Athanazjusza? Przeklęty bałwochwalco, dowiedz się i zapamiętaj, że słowo pochodzi od Bóstwa i że pod żadnym względem nie jest Mu równe ani wiecznie trwałe. Precz stąd, powtarzam, albo roztrzaskam ci czaszkę.

Szkoda było dysputować z wściekłym Arianinem, toteż Simeon usunął się bez oporu, zasmucony i zdziwiony, że nawet w to pustkowie przeniknął duch religijnych swarów. Z opuszczoną na piersi głową i ciężkim sercem zszedł w dolinę i wspinał się do swojej celi, która leżała pod szczytem pagórka, przyrzekając sobie święcie nigdy już nie odwiedzać swojego sąsiada, Arianina.

I tu, przez rok cały, Simeon Melas wiódł żywot, poświęcony modlitwie, z dala od świata. Nikt nie zaglądał do jego chaty, bo i nie było powodu. Raz tylko młody oficer rzymski - Caius Crassus - przybył tu konno z Tyras i wdrapał się na wzgórze, aby pomówić z pustelnikiem. Pochodził on z szlacheckiej rodziny i dotąd pozostał wierny starym bogom. Przyglądał się zainteresowany i zdziwiony, ale i zgorszony, ascetycznemu mieszkańcowi lepianki.

- Kto ci każe żyć w ten sposób? - zapytał.

- Chcemy okazać, że duch nasz jest ważniejszy, niż ciało - odpowiedział Simeon. - Wierzmy, że za wszelkie niewygody na tym świecie, zyskamy nagrodę w życiu przyszłym.

Setnik wzruszył ramionami.

- To samo głoszą nasi stoicy, Kiedy służyłem w czwartej Legii, w kohorcie Heruliańskiej i przebywałem w Rzymie, spotykałem się często z chrześcijanami, ale nie dowiedziałem się od nich nic ponad to, co mi mówił ojciec, którego w waszej bezczelności

nazwalibyście poganinem. Prawda, że mówimy o wielu bogach, ale od szeregu lat nie myślimy o nich poważnie. Zapatrywania nasze na cnotę, obowiązek i życie uczciwe nie różnią się od waszych pod żadnym względem.

Simeon Melas wstrząsnął głową.

- Jeśli nie macie świętych ksiąg - rzekł - któż kieruje waszymi krokami?

- Gdybyś czytał naszych filozofów, a przede wszystkim boskiego Platona, przekonałbyś się, że może być równie dobrym przewodnikiem. A może czytałeś książkę, napisaną przez naszego cesarza Marka Aureliusza. Znajdziesz tam wszystko, co wiedzieć winien prawy mąż, chociaż to dzieło niechrześcijańskie. Czyś zastanawiał się nad słowami i czynami zmarłego cesarza Juliana, z którym Odbyłem pierwszą wyprawę wojenną na Persów? Czy mógłbyś znaleźć bardziej męski charakter?

- Szkoda słów - rzekł Simeon surowo. - Pośpiesz się i przyjmij prawdziwą wiarę, gdyż koniec świata jest bliski, a kiedy przyjdzie, ludzie zamykający oczy na światło nie znajdą litości. - To rzekłszy, wrócił do swego kłęcznika i krzyża, a młody Rzymianin zszedł, pogrążony w zadumie, w dolinę i dosiadłszy rumaka odjechał do swego dalekiego fortu. Simeon patrzył za nim, dopóki jego mosiężny hełm nie zniknął na zachodnim krańcu wielkiej płaszczyny, gdyż był to jedyny człowiek, jakiego widział przez cały długi rok, a czasami tęsknił za głosem i twarzami ludzi.

I znów minął rok i poza zmianami, zależnymi od pogody, jeden dzień był podobny do drugiego. Każdego ranka, kiedy Simeon otwierał oczy, widział tę samą szarą linię, przechodzącą w czerwien na dalekim wschodzie, dopóki jasny brzeg słońca nie ukazał się na widnokręgu poza wielką równiną, na której nie stanęła dotąd noga człowieka. Z wolna słońce przesuwało się po łuku niebieskim, a kiedy cienie wznoszących się nad jego lepianką ciemnych skał zaczynały niknąć, pustelnik zabierał się do modlitwy i rozmyślań. Nic na ziemi nie przykuwało jego wzroku i nie zwracało uwagi, gdyż pokryty trawą step był z miesiąca na miesiąc tak pusty, jak niebios w górze. I tak upływały godziny, aż w końcu słoneczna kula zniknęła na zachodzie i dzień kończył się. W takim samym szaroperłowym blasku, w jakim się zaczynał. Razu pewnego dwa kruki krążyły przez kilka dni nad odosobnionym wzgórzem, a innym razem przyleciała rybitwa znad Dniestru i darła się nad głową pustelnika. Czasem widać było na zielonej równinie czerwone punkciki, oznaczające pasące się kozy, a często wilk wył w ciemnościach u stóp skał. Takim było monotonne życie Simeona Melasa, aż wreszcie nadszedł dzień grozy.

Było to późną wiosną roku 375. Simeon wyszedł właśnie z lepianki z dzbankiem w rękę, aby zaczerpnąć wody u źródła. Słońce zaszło i zmierzch zapadał, a ostatnie promienie

różowego światła spoczywały na skalistym wierzchołku wznoszącym się po drugiej stronie wzgórza, na którym stała chata pustelnika. Kiedy Simeon wyszedł ze swej celi, dzbanek wysunął mu się z ręki, a on sam stanął osłupiały ze zdziwienia.

Na przeciwległym wierzchołku stał człowiek, którego sylwetka zaznaczała się wyraźnie w mdłym świetle wieczoru. Była to dziwna, niekształtna postać, krepą, zgarbioną, o wielkiej głowie osadzonej na krótkim karku. Stała twarzą zwrócona ku równinie, całym ciałem pochylona naprzód, patrząc na zachód. W chwilę później zniknęła i czarny szczyt, doskonale widoczny na tle wschodniego nieba, opustoszał. Potem zapadła noc i nastąpiła ciemność.

Simeon Melas stał długo, zmieszany i zachodził w głowę, kim mógł być ten obcy. Słyszał, jak wszyscy chrześcijanie, o złych duchach, straszących pustelników w Tebaidzie i na płaszczynach Etiopii. Dziwne kształty tego samotnego tworu, jego ciemna postać i wygląd, przypominający raczej dzikie, krwiożercze zwierzę, niż człowieka, uprawniały go do wierzenia, że zetknął się z jednym z przybyszów z piekła, o którego istnienia był głęboko przekonany. Większą część nocy spędził na modlitwie, strzelając niespokojnymi oczami ku wejściu do celi. W każdej chwili jakiś potwór, jakieś rogate stworzenie mogło rzucić się na niego, toteż przywarł do krucyfiksów i ścisnął go mocniej, ilekroć myśl podobna zawitała do jego duszy. W końcu jednak zmęczenie wzięło górę nad obawą i padłszy na łoże z suchej trawy, spał aż do białego dnia.

Spał dłużej niż zazwyczaj, a kiedy się zbudził słońce stało już wysoko na niebie. Wyszedszy z celi, spojrzął na skalisty cypel, ale ten był pusty i nagi. Zdawało mu się, że ciemna, dziwaczna postać, która go tak przeraziła musiała być jakąś marą senną, jakimś zjawiskiem nadnaturalnym. Dzbanek jego leżał tam, gdzie upadł; podniósł go, mając zamiar iść do źródła. Ale w tej chwili uderzyło go coś niezwykłego. W powietrzu słychać było jakiś dziwny pomruk. Pochodzenia jego nie umiał sobie wytłumaczyć. Był to szmer nieokreślony, głuchy, niewyraźny, lepiej lub gorzej słyszalny, objający się o skały, przechodzący w szept, ale nie ginący. Spojrzął zdumiony na niebieskie, czyste niebo. Potem wdrapał się na szczyt i ukrywając się w cieniu skał, spojrzął na równinę. Nawet we śnie nie spodziewał się podobnego widoku. Wielka równina pokryta była jeźdźcami... Były ich setki, tysiące, a wszyscy zdążali powoli i w milczeniu od nieznanego wschodu. Cichy szmer, dochodzący do jego uszu, pochodził od niezliczonych uderzeń kopyt końskich. Niektórzy z jeźdźców byli tak blisko, że spoglądając w dół, mógł widzieć dokładnie ich wychudzone konie i siedzące na nich ogorzałe, krepą, dziwaczne postacie, z braku strzemion kołyszące się za każdym ruchem zwierzęcia. Mógł dostrzec łuki i kołczany, długie włócznie i krótkie miecze, zwinięte lassa

wiszące za każdym z jeźdźców, co świadczyło, że nie była to horda wędrowców, ale straszliwa armia w pochodzie. Oczy jego pobiegły w dal, na sam koniec widnokregu, wszędzie jednak widział poruszające się tłumy jeźdźców. Przednia straż tej olbrzymiej armii minęła już dawno skalistą wysepkę, na której mieszkał i zrozumiał teraz, że straż tę poprzedzali pojedynczy wywiadowcy, kierujący ruchami wojska i że jednego z takich wywiadowców widział ubiegłego wieczoru.

Przez cały dzień, jakby urzeczony tym niezwykłym widokiem, spoczywał pustelnik w cieniu skał i przez cały dzień toczyła się przez równinę u jego stóp lawina jeźdźców. Simeon widział ludne ulice Antiochii, przypatrywał się tłumom zgromadzonym w hippodromie w Konstantynopolu, ale nie wyobrażał sobie nigdy takiej masy ludzi, jak ta, którą teraz oglądał i która szła od wschodniego krańca niebios, gdzie był koniec świata. Niekiedy stada klaczy i źrebiąt, pędzone przez pasterzy na koniach, rozdzielały gęste szeregi jeźdźców; niekiedy pojawiały się stada bydła, a czasem długie sznury wozów, krytych skórą, ale poza nimi sunęli jeźdźcy, znowu jeźdźcy, w setkach, tysiącach i dziesiątkach tysięcy, powoli, bez ustanku, w milczeniu pędząc ze wschodu na zachód. Dzień się skończył, zmierzch zapadł, i nastąpiła noc, a wielkie morze jeźdźców płynęło ustawicznie.

Ale noc przyniosła nowy i jeszcze dziwniejszy widok. Simeon zauważył na grzbiecie wielu jadących luzem koni, wiązki drzewa i teraz ujrzał, do jakiego służyły celu. Na całej płaszczyźnie zabłysły w ciemnościach czerwone punkciki, które przekształciły się w rzucające iskry kolumny ognia. Jak daleko mógł okiem sięgnąć widział na wschodzie i zachodzie ogniska, z których najdalej zaledwie się zaznaczały. W górze, na niebie, świecące czerwonym światłem gwiazdy spoglądały na niezmierny step. A zewsząd dochodził głuchy, niewyraźny szmer głosów ludzi, zmieszany z rykiem wołów i rżeniem koni.

Simeon był żołnierzem i człowiekiem przedsiębiorczym, zanim wyrzekł się świata, toteż nie ludził się co do znaczenia oglądanego przez siebie widoku. Wiedział z historii, że świat Rzymian, oblegany był raz po raz przez hordy barbarzyńców, przybywających z nieznanych krain i że Cesarstwo Wschodnie, już w pięćdziesiąt lat po przeniesieniu stolicy przez Konstantyna nad brzeg Bosforu, spotkał los podobny. Gepidowie i Herulowie, Ostrogoci i Sarmaci, znani mu byli od dawna. To, co widział ze swojego samotnego pagórka najdalej na wschód wysunięty strażnik Europy, było nową kieską, zagrażającą cesarstwu, która różniła się od poprzednich niepojętymi, olbrzymimi rozmiarami i dziwnym wyglądem niosących ją wojowników. On jeden ze wszystkich ludzi cywilizowanych wiedział o zbliżaniu się groźnego cienia, który, jak burzą brzemienią chmura, wyłonił się z niezgłębionej otchłani wschodu. Przyszły mu na myśl słabe posterunki rzymskie nad Dniestrem, na wpół zwalony

wał Trajana poza nimi i porozrzucane, bezbronne miasteczka na równinie, rozciągającej się aż do Dunaju, które nie przeczuwały grożącego im niebezpieczeństwa. Gdyby je mógł ostrzec! Może dlatego właśnie Bóg wyprawił go na pustynię.

Wtem przypomniał sobie swego sąsiada, Arianina, który mieszkał w dole, w jaskini. Raz czy dwa razy w ciągu roku ujrzał na chwilę jego wysoką, zgarbioną postać, pochylającą się nad zastawionymi przez siebie siódmami, w które chwycił kuropatwy i przepiórki. Raz tylko spotkali się nad strumykiem, ale stary teolog odpędził go, jak trędowatego. Co sądził teraz o tym niezwykłym zdarzeniu? Zaiste, w takiej chwili należało zapomnieć o dzielącej ich różnicy zapatrywań. Zsunął się z pagórka i podążył do jaskini swego towarzysza pustelnika.

Ale w sąsiedztwie jej panowało straszliwe milczenie. Śmiertelna cisza w dolinie budziła niepokój w jego sercu. W pieczarze nie było widać światła. Wszedł i zawołał, ale nikt mu nie odpowiedział. Potem przy pomocy krzesiwa, kawałka stali i suchej trawy rozniecił ogień. Stary pustelnik leżał na dnie pustyni z włosami zboczonymi krwią. Strzaskany krucyfiks, którym rozbito mu głowę, spoczywał na jego ciele. Simeon padł obok trupa na kolana, prostując jego sztywne członki i mrużąc modlitwę za umarłych, kiedy uszu jego dobiegł odgłos uderzeń kopyt końskich w małej dolinie, wiodącej do celi pustelnika. Sucha trawa spłonęła, a Simeon drżący ze strachu, przykucnął w ciemnościach, klepiąc pacierze do Matki Boskiej i prosząc, aby dodała mu sił.

Być może, że przybysz dostrzegł błysk światła, a może słyszał od towarzyszy o starcu, którego zamordowali i ciekawość sprowadziła go w to miejsce. Zatrzymał konia przed jaskinią, a Simeon, który czaił się w ciemnościach, mógł przypatrzeć się mu w świetle księżyca. Zsunął się z siodła, przywiązał uzdę do drzewa i zajrzał do wnętrza jaskini. Był to krępy, gruby mężczyzna, o ciemnej twarzy, oszpeconej z każdej strony trzema cięciami. Oczy jego były głęboko osadzone tak, że miejsce ich zajmowały w nalanej, płaskiej, bezwłosej twarzy, jakby czarne otwory. Nogi jego były krótkie i kabłąkowato wygięte, tak, że idąc pochylał się to w jedną, to w drugą stronę.

Simeon przykucnął w najciemniejszym kącie, ściskając kurczowo w ręce tę samą sękatą pałkę, którą zmarły kiedyś podniósł na niego. Kiedy ohydny łeb wsunął się do celi, spuścił na niego pałkę z całą siłą, a skoro dziki upadł na twarz, uderzał bez zastanowienia raz i drugi, dopóki bezkształtna postać nie znieruchomiła zupełnie. Pod tym samym sklepieniem przyszło do pierwszego zabójstwa Europy i Azji.

Tętna Simeona były mocno, a on sam drżał ze wzruszenia. Uczuł nagły przypływ

energii, jaka się w nim nagromadziła w czasie długich lat wypoczynku. Stojąc w ciemnej jaskini ujrzał, jakby na ognistej mapie, potężne wojska nieprzyjaciół, linie rzeki, osady i sposób ostrzeżenia ich. Czekał w milczeniu, dopóki księżyc nie zaszedł. Potem wskoczył na konia zabitego, wyprowadził go z wąwozu i pogalopował przez równinę.

Widział otaczające go zewsząd ogniska, ale nie zbliżał się do nich. Widział śpiących przy nim wojowników i długie szeregi powiązanych razem koni. Obóz ciągnął się milami. A potem wyjechał na równinę, wiodącą do rzeki i ogniska najeźdźców pozostawił daleko w tyle. Prędej, coraz prędzej pędził przez step, jak liść uniesiony wiatrem przed burzą. Kiedy brzask rozjaśnił niebo poza nim, pierwsze promienie budzącego się dnia padły i na szeroką rzekę przed nim. Zaciął konia i przez mieliznę przedostał się na środek mętnej toni.

* * *

Kiedy rankiem tegoż dnia młody centurion rzymski Caius Crassus objeżdżał posterunki fortu w Tyras ujrzał pędzącego ku niemu od strony rzeki rumaka, na którym siedziała jakaś postać. Zmęczeni, przemoczeni, pokryci błotem i potem, koń i człowiek gonili resztkami sił. Zdumiony Rzymianin przyglądał im się przez chwilę i poznał w ubranej w łachmany postaci, która pędziła ku niemu z rozwianymi włosami i wytrzeszczonymi oczami, samotnego mieszkańca pustyni na wschodzie. Wyjechał na jego spotkanie i chwycił go w ramiona, kiedy zsunął się z siodła bez sił.

- Co się stało? - zapytał. - Jakie przywozisz nowiny?

Ale pustelnik mógł wskazać tylko na wschodzące słońce.

- Do broni! - charczał. - Do broni! Nastął dzień sądu!

Rzymianin podniósł głowę i ujrzał daleko, poza rzeką, wielki cień posuwający się powoli przez równinę.

OSTATNI LEGION

Wicekról rzymski Pontus siedział w atrium swojej wspaniałej willi nad Tamizą i wpatrywał się, poruszony do głębi, w rozwinięty przed chwilą zwój papirusu.

Przed nim stał poseł, który go przyniósł, ogorzały, drobny Włoch, o oczach błyszczących ze zmęczenia i oliwkowej cerze, jeszcze ciemniejszej niż zazwyczaj w skutek kurzu i potu, pokrywającego jego twarz. Wicekról patrzył wprost na niego, ale go nie widział, gdyż umysł zaprzątnięty miał otrzymanymi niespodziewanie rozkazami. Zdawało mu się, że ziemia usuwa się spod jego stóp. Praca całego jego życia i wszelkie nadzieje runęły w proch.

- Dobrze - rzekł wreszcie twardym, suchym głosem. - Możesz odejść.

Człowiek złożył ukłon wojskowy i wyszedł z sali.

Płowy, brytyjski zarządca domu wystąpił naprzód, czekając na rozkazy.

- Czy generał obecny?

- Czeka, ekscelencjo.

- Wprowadź go i zostaw nas samych.

W kilka minut później zjawił się Licynius Crassus, naczelny wódz wojsk brytyjskich. Był to rosły, brodaty mężczyzna, przybrany w białą togę, obramowaną patrycjuszowskim, purpurowym szlakiem. Jego szczerą, piękną twarz, opaloną, pokrytą bliznami i szramami z czasów wojen afrykańskich zdradzała niepokój, kiedy patrzył pytającymi oczami na ściągnięte, wzburzone oblicze wicekróla.

- Lękam się, ekscelencjo, że nadeszły złe wieści z Rzymu.

- Bardzo złe. Brytania stracona. Nie wiadomo nawet, czy da się utrzymać Galię.

- Wielkie nieba! Czy rozkazy są wyraźne?

- Oto one, a to pieczęć cesarza.

- Ale dlaczego? Rozpuszczano rozmaite pogłoski, ale nie wierzyłem im.

- I ja jeszcze przed tygodniem ukarałem chłostą człowieka, który głosił podobne wieści. Ale rozkazy są wyraźne. „Zbierz wszystkie siły na obronę cesarstwa. Nie zostawiaj w Brytanii ani jednej kohorty. Tego żądam.”

- Ale przyczyna?

- Lepiej, aby obumarły członki, a serce mogło się wzmocnić! Grozi nam nowy najazd Germanów. Od strony Dacji i Scytii zdążają hordy barbarzyńców. Trzeba żołnierzy dla obrony wąwozów alpejskich. Niepodobna pozostawić w Brytanii trzech legionów.

Żołnierz wzruszył ramionami.

- Po odejściu wojska żaden Rzymianin nie będzie się tutaj czuł pewny. Zrobiliśmy

dużo dla tego kraju, ale mimo wszystko jesteśmy tu obcymi.

- Tak jest, wszyscy mężczyźni, kobiety i dzieci, w których żyłach płynie krew
latyńska muszą podążyć z nami do Galii. Galery oczekiwać będą w porcie Dubris, Wydadaj od
razu rozkazy, Crassusie. Cofający się z Wału Hadriana legion Waleriański zabrać morze
osadników północnych. Jowanie przyprowadzą ludzi z zachodu, a Batawowie użyczą opieki
kolonistom ze wschodu, gdyż zbiorą się w Camboricum. Postarasz się o to. - Ukrył twarz w
dłoniach. - To straszne - rzekł po chwili - wydzierać korzenie drzewa, które wyrosło by
wspaniale.

- Aby miejsce jego zajęły chwasty - rzekł żołnierz z goryczą. - Mój Boże, co się stanie
z tymi biednymi Brytami! Od morza do morza zawrze walka, skoro tylko odwróci się od nich
ostatni rzymski liktor. I nam trudno utrzymać miecze w pochwach.

- Psiarnia walczyć będzie z sobą, dopóki nie zwycięży najsilniejszy pies - rzekł
rzymski wielkorządca. - W każdym razie jednak zwycięzcy pozostawimy po sobie naszą
sztukę i religię, a Brytania się zjednoczy. Niedźwiedź z północy i wilki zza morza, malowane,
dzikie plemiona z tamtej strony wału i saksońscy piraci z poza wody obejmą po nas
panowanie. Gdzieśmy siali, będą zabijać, gdzieśmy budowali, będą palić, gdzieśmy sadzili,
będą niszczyć. Ale kości rzucone, Crassusie. Wykonaj rozkazy.

- Wyślę gońców w ciągu godziny. Jeszcze dziś rano otrzymałem wiadomość, że
barbarzyńcy przedarli się przez stary wyłom w wale i że przednie ich straże pojawiły się na
południe od Vinowii.

Wielkorządca wzruszył ramionami.

- To już nas nic nie obchodzi - rzekł. Potem na jego orleju, gładko wygolonej twarzy
pojawił się gorzki uśmiech. - Nie przypuszczasz, kto dziś rano zażądał audiencji?

- Nie, nie wiem.

- Caradoc i Regnus i lończyk Ceticus, którzy, jak wielu bogatych Brytów, kształcili
się w Rzymie i którzy chcą mi przedstawić plan rządów tą krainą.

- A na czym plan ten polega?

- Chcą rządzić się sami. Żołnierz rzymski roześmiał się.

- A więc stanie się według ich woli - rzekł, złożył ukłon i zwrócił się do drzwi. -
Żegnaj ekscelencjo. Ciebie i mnie czekają ciężkie dni.

W godzinę później wprowadzono do wielkorządcy deputację brytyjską. Byli to ludzie
zacni, którzy z całą duszą i z narażeniem własnej osoby występowali w obronie praw swoich
ziomków. Wiedzieli oni jednak dobrze, że pod łagodnymi rządami Rzymian tylko wówczas
groziło im niebezpieczeństwo, kiedy od słów przechodzili do czynów. Stali tak z poważnymi,

choć niezbyt pewnymi minami przed tronem wicekróla. Ceticus był drobnym, czarnobrodym, o ciemnej cerze Iberyjczykiem. Caradoc i Regnus byli smukłymi mężczyznami w średnim wieku o twarzach wygolonych, jak u Rzymian. Wszyscy trzej nosili żółte togi na sposób łatyński, zamiast tuniki, stroju charakteryzującego ich ziomków.

- I cóż - zapytał Wielkorządca.

- Przychodzimy tu - rzekł śmiało Ceticus - jako przedstawiciele większej części narodu w celu wysłania przez ciebie, panie, petycji do cesarza i senatu rzymskiego, w której domagamy się pozwolenia na rządy krajem według naszych zapatrywań. - Przerwał, jakby spodziewając się szorstkiej odpowiedzi, ale wielkorządca skinął głową, dając znak, by mówił dalej. - Mieliliśmy prawa własne, zanim jeszcze Cezar wylądował w Brytanii, prawa, na których opieraliśmy się z ufnością od chwili, kiedy praojcowie nasi przybyli z kraju Ham. Nie jesteśmy dzieckiem w gronie narodów, ale dzieje nasze sięgają czasów jeszcze dawniejszych, niż rzymskie, toteż dusimy się w waszym jarzmie.

- Czy prawa nasze są niesprawiedliwe? - zapytał Wielkorządca.

- Kodeks Cezara jest sprawiedliwy, ale jest kodeksem cesarza. Prawa nasze powstały w innych okolicznościach i powstały dla naszego użytku, toteż chcemy się nimi rządzić.

- Mówisz po łacinie, jakbyś się wychował na forum; nosisz rzymską togę; czeszesz włosy na sposób rzymski - czyż to nie dary Rzymu?

- Przejmujemy od Rzymian i Greków całą ich wiedzę i wszelkie sztuki, ale chcemy być Brytyjczykami i chcemy, aby nami rządzili Brytowie.

Wicekról uśmiechnął się.

- Na krzyż św. Heleny - rzeki - gdybyś tak mówił z którymś z moich pogańskich przodków, nauczyłyby cię polityki. To, że śmiesz rozmawiać ze mną w ten sposób jest niezbitym dowodem łagodności naszych rządów. Ale zabawię się z tobą w dysputę. Wiesz dobrze, że kraj ten nie był nigdy jednym królestwem, ale że posiadało go wielu wodzów i wiele szczepów nawzajem się zwalczających. Czyż znowu pragniecie wojny?

- Były to czasy pogaństwa, dni druidów i gajów świętych, ekscelencjo. Obecnie wiąże nas religia, głosząca pokój.

Wicekról potrząsnął głową.

- Niestety nie wszystkie ludy myślą podobnie - rzekł. - Być może, że ta błogosławiona religia pokoju nie uchroni was od walki z innymi plemionami, które wciąż jeszcze składają cześć bóstwu wojny. W jakiż sposób obronicie się przed Piktami?

- Ekscelencja wie, że wielu dzielnych legionistów jest z rodu Brytami. Ci będą nas bronić.

- Ale karności, człowieku, kierownictwa, znajomości sztuki wojennej, pewności działania - tego wam będzie brakować. Zbyt długo spoczywaliście.

- Będziemy mieli trudności, ale skoro je zwalczymy, Brytania poczuje się znowu wolną.

- Nie, dostanie tylko innego, bardziej bezwzględnego pana - rzekł Rzymianin. - Na wschodnich wybrzeżach widziano już piratów. Gdyby nie rzymskie załogi wylądowałyby już jutro. Widzę dzień w którym Brytania może się stać, w istocie, jednym państwem, ale wówczas ty i ziomkowie twoi żyć nie będziecie, chyba w górach na zachodzie. Wszystko wraca z powrotem do kotła, a kiedy wyjdzie z niego lepszy Albion, będzie to po wiekach walki... Ani ty, ani twój naród chwili tej nie doczekacie.

Regnus, wysoki, młody Celt, uśmiechnął się.

- Przy boskiej pomocy wywalczymy sobie z bronią w ręku lepszą przyszłość - rzekł. - Dajcie nam tylko sposobność.

- Żądacie własnej zguby - rzekł ze smutkiem wicekról. - Stoi mi przed oczami ta rozległa kraina, z jej ogrodami i sadami, pięknymi willami i otoczonymi wałem miastami, mostami i gościńcami. Wszystko to dzieło Rzymian. Nie ulega wątpliwości jednak, że minie jak sen i że te trzysta lat ujętego w normy osadnictwa nie pozostawi żadnych śladów. Dowiedzcie się bowiem, że stanie się według waszego życzenia i że dziś właśnie otrzymałem rozkazy, aby legiony wróciły do kraju.

Trzej Brytowie spojrzeli na siebie zdziwieni. Z początku ogarnęło ich uczucie dzikiej radości, ale wkrótce w duszy zbudziła się rozważa i zwątpienie.

- Zaprawdę to zadziwiające wieści - rzekł Ceticus. - Jest to dla naszej ojczyzny dzień szczęśliwy. Kiedy odchodzą legiony, ekscelencjo i jakie wojska pozostają dla naszej obrony?

- Legiony odchodzą zaraz - rzekł wicekról. - Zapewne radość przepelni wasze serca, kiedy powiem, że od dziś za miesiąc nie będzie na tej wyspie żadnego rzymskiego żołnierza, żadnego w ogóle Rzymianina bez względu na wiek i pleć, o ile zechce pójść ze mną.

Twarze Brytów spochmurniały, a Caradoc, poważny i rozumny mężczyzna przemówił po raz pierwszy.

- Ależ to zbyt prędko, ekscelencjo - rzekł. - Wszak sam wspominałeś o piratach. Z willi mojej w pobliżu fortu w Anderidzie widziałem przed tygodniem osiemdziesiąt ich galer... Wiem, że rzucą się na nas, jak kruki na padlinę. Przez szereg lat jeszcze nie zdołamy im stawić oporu.

Wicekról wzruszył ramionami.

- To wasza rzecz - odparł. Rzym musi własnych spraw pilnować.

Ostatnie ślady radości zniknęły z twarzy Brytów. W jednej chwili przyszłość stanęła im wyraźnie przed oczami, a przeszłość ta przyprawiała o strach.

- Mówią, - rzekł Ceticus - że barbarzyńcy z północy przedostali się przez wał. Kto powstrzyma ich pochód?

- Wy i wasi ziomkowie - odparł Rzymianin. W oczach wysłanników widać było lęk.

- Ależ ekscelencjo, jeśli: legiony odejdą od razu, będziemy mieli za miesiąc dzikich Szkotów w Yorku, a mieszkańców Północy na Tamizie. Możemy zorganizować się tylko pod waszą opieką. Za kilka lat łatwiej damy sobie radę, ale nie teraz, ekscelencjo, nie teraz.

- Trudno. Od szeregu lat krzyczeliście nam nad głową i buntowali rodaków. Dziś macie, czegoście chcieli. O cóż jeszcze chcecie prosić? Nim miesiąc upłynie, będziecie wolni, jak wasi przodkowie przed wylądowaniem na tych brzegach Cezara.

- Na miłość boską, ekscelencjo, nie chwytaj nas za słowa. Wszystko to trzeba omówić. Wyślemy ludzi do Rzymu. Pojedziemy sami. Padniemy do nóg cesarza. Będziemy błagać Senat, aby legiony pozostały.

Prokonsul rzymski powstał z krzesła, dając znak, że audyencja skończona.

- Zrobicie, co uważacie za stosowne - rzekł. - Ja z wojskiem powracam do Włoch.

* * *

I tak się stało, gdyż jeszcze przed nadejściem lata oddziały rzymskie podążyły przez via Aurelia ku wąwozom liguryjskim, a wszystkie drogi w Galii zarośli się od wozów i pod wód, na których uciekinierzy z Brytanii podróżowali do swojej dalekiej ojczyzny. A kiedy nadeszło drugie lato, Ceticus już nie żył, gdy zasmagany został na śmierć przez piratów, a jego skórę przybito do drzwi kościoła w pobliżu Caistor. Nie żył i Regnus, gdyż przywiązali go do drzewa i ustrzelili z łuku Piktowie po zdobyciu Iści. Jeden tylko Caradoc pozostał przy życiu, ale był niewolnikiem rudego Kaledończyka Eldy, a żona jego kochanką dzikiego wodza zachodnich Cymrów Mordreda. Piękny kraj Brytania, od zburzonego wału na północy, aż do Vectis na południu, pokryty był krwią, zgliszczami i popiołem. Wydobył się z pod nich po wielu latach jeszcze piękniejszy, ale, jak przepowiedział Rzymianin, ani Brytowie, ani pokrewne im ludy nie zostali jego dziedzicami.

PIERWSZY TRANSPORT

„Ex ovo omnia”

„W chwili, kiedy opuszczałeś Brytanię z twoim legionem, drogi Cassusie, obiecałem ci, że pisywać będę o wszelkich zmianach w tym kraju. Osobiście, jestem bardzo zadowolony, że pozostałem, kiedy wojsko nasze i tylu obywateli odjechało, gdyż zyski, jakie mi przyniosły trzy podróże przez Bałtyk w poszukiwaniu bursztynów pozwoliły mi nie tylko zapomnieć o ciężkich warunkach życia i okropnym klimacie tej krainy, ale uprawniają mnie również do przypuszczenia, że wkrótce będę mógł powrócić do ojczyzny i spędzić ostatnie lata życia pod własnym drzewem figowym, a może nawet kupić małą willę w Baiae lub Puteoli i rozkoszować się słoneczną kąpielą po dniach spędzonych wśród mgieł tej przeklętej wyspy. Wyobrażam już sobie, jak siedzę w małym domku, który jest moją własnością i przygotowuję się do tego życia, czytając Georgiki, ale ilekroć słyszę wycie wichrów i szelest padającego deszczu, Italia wydaje mi się jednak bardzo daleką.

W poprzednim liście, pisałem ci, co się dzieje w tym kraju. Biedny naród, który pod naszymi rządami oduczył się władać bronią przez wieki całe, jest teraz zupełnie bezsilny wobec Piktów i Szkotów, tatuowanych barbarzyńców z północy, którzy zajęli cały kraj i robią właściwie co zechcą. Jak długo grasowali na północy, ludność mieszkająca na południu, która jest najliczniejszą i najbardziej cywilizowaną wśród Brytów, zbytnio o nich nie dbała, ale obecni łupieżcy zapuścili się aż pod Londyn tak, że gnuśni mieszkańcy tych okolic będą musieli chwycić za broń., Król Vertigern zna się tylko na winie i kobietach, wysłał więc posłów do Północnych Germanów w nadziei, że przybędą mu na pomoc z poza Bałtyku. Wielkie to nieszczęście, jeśli do domu wpadnie niedźwiedź, ale sytuacja zgoła się nie zmieni, skoro go wypłoszą stada dzikich wilków. Ale nie było wyboru, wysłano zatem zaproszenie, które zostało chętnie przyjęte. I tu pojawia się na widowni twój pokorny sługa. W ciągu moich wypraw po bursztyn nauczyłem się po saksońsku, wysłano mnie zatem pośpiesznie na wybrzeże Kentu, abym był obecny przy wylądowaniu naszych sojuszników. Przybyłem tam w dniu, w którym pojawił się ich pierwszy statek i chcę ci opowiedzieć co mi się przytrafiło. Jest dla mnie rzeczą jasną, że wylądowanie tych wojowniczych Germanów w Anglii ma wielkie znaczenie historyczne, toteż nie lękam się, aby znużyło cię moje opowiadanie, znam bowiem twój żądny wrażeń umysł.

Było to zatem w dniu Merkurego, bezpośrednio po Święcie Wniebowstąpienia, kiedy znalazłem się na południowym brzegu rzeki Tamizy, u jej ujścia do morza. Znajdująca się w

tym miejscu wyspa Thanet wyznaczoną była dla naszych gości na lądowanie. W chwili, kiedy tam przybyłem, nadpływał z rozpiętymi żaglami pierwszy z trzech statków. Biały koń, który jest znakiem bojowym tych rozbójników morskich widniał na zatkniętej na maszcie chorągwi okrętu, wypełnionego ludźmi po brzegi. Słońce świeciło jasno i wielki szkarłatny statek, z białymi jak śnieg żaglami i szeregiem błyszczących tarczy na pokładzie, przedstawiaj na tle niebieskiego morza widok wspaniały.

Wsiadłem natychmiast do łodzi, gdyż w myśl umowy zaden z Saksonów nie miał prawa opuszczać okrętu przed przybyciem króla i rozmową jego z ich wodzami. Podjechałem do statku, którego przód był przyozdobiony złożonym smokiem, a którego boki zaopatrzone były w trzy rzędy wiosel. Podniosłem głowę do góry i ujrzałem szereg postaci ubranych w hełmy, a w ich liczbie Czarnego Eryka, którego przed rokiem poznałem w Verta. Przywitał mnie serdecznie na pokładzie i stał się od razu moim przewodnikiem, doradcą i przyjacielem. Było mi to bardzo na rękę, gdyż barbarzyńcy ci niechętnie zawierają znajomości i są z natury bardzo zimni, chyba że jeden z ich grona poleci im jakiegoś nieznanego człowieka, wówczas bowiem okazują się gościnni i serdeczni. Nie przeszkadza im to traktować cudzoziemca z pewnym lekceważeniem, a nawet a pogardą.

Spotkanie z Erykiem ułatwiło mi ogromnie postępowanie, gdyż dał mi pewne wskazówki zanim zaprowadzono mnie do Kenny, dowódcy tego okrętu. Załogę jego stanowiły trzy szczepy, względnie rody - Kennów, Lanców i Hastów. Nazwiska należących do nich utworzone były według nazwisk wodzów przez przybranie końcówki „ings”, tak, że cała załoga składała się z Kenningsów, Lancingsów i Hastringsów. W czasie moich wypraw na Bałtyk przekonałem się, że w razie osiedlenia się tych ludzi na wybrzeżach Anglii powstaną i tu miasta o nazwiskach ich rodów.

Przeważnie byli to ludzie o silnej budowie ciała, i rudych, jasnych lub kasztanowatych włosach. Ku wielkiemu mojemu zdumieniu zauważyłem wśród nich wiele kobiet. Zapytany przeze mnie Eryk objaśnił, że biorą z sobą kobiety zawsze, jeśli to tylko możliwe i że uważają je za towarzyszkę i doradczynię. Przypomniałem sobie później, że nasz znakomity i dokładnie opisujący Germanów Tacyt zwrócił uwagę na ten charakterystyczny zwyczaj. O uchwaleniu prawa decydują głosy członków szczepu, a chociaż kobiety nie mogą jeszcze głosować, wielu z pomiędzy nich zgodziłoby się na udzielenie im tego prawa, należy się zatem spodziewać, że kobiety i mężczyźni będą mieli wkrótce w Państwie taką samą władzę, chociaż kobiety same sprzeciwiają się wprowadzeniu tej reformy. Zrobiłem uwagę, że obecność tylu kobiet musi wpływać na zawieranie przyjaznych stosunków, odpowiadano mi jednak, że żony wodzów nie żyją z żonami niższych oficerów, nie wspominając już o tym, że z żonami prostych

wojowników w ogóle nie utrzymują stosunków, o przyjaźni między nimi nie ma zatem co mówić. Eryk pokazał mi Edytę, żonę Kenny, rumianą, starszą kobietę, która spacerowała z nosem zadartym do góry, nie zwracając uwagi na inne niewiasty.

W czasie mojej rozmowy z Erykiem powstało na pokładzie wielkie zamieszanie i wielu mężczyzn, porzuciwszy robotę, udało się na przód okrętu z minami, wskazującymi, że przedmiot sporu żywo ich interesował.

Eryk i ja poszliśmy za ich przykładem, gdyż pałałem żądzą poznania zwyczajów i sposobu życia tych barbarzyńców. Przyczyną swady było dziecko, mały, niebieskooki chłopczyk z jasnymi, kręcącymi się włosami, którego jak się zdaje, niezwykle bawił fakt, że stał się powodem zamieszania po jednej stronie jego ujrzałem siwobrodego starca, o wyglądzie majestatycznym, który dawał do zrozumienia gestami, że chłopiec powinien należeć do niego, a z drugiej strony stał chudy, poważny, silnie zaniepokojony mężczyzna, broniący się przed odebraniem mu ucznia. Eryk szepnął mi do ucha, że starzec był arcykapłanem plemienia i ofiarnikiem z urzędu wielkiego boga Wotana, a przeciwnik jego wygłaszał zdanie odmienne, wprawdzie nie o samym Wotanie, ale o sposobach składania mu ofiar. Stary kapłan miał za sobą większość, ale pewna część wojowników, której odpowiadała większa swoboda w składaniu czci bóstwu i która wołała stare modlitwy zastępować nowymi, popierała młodszego mężczyznę. Różnice zapatrywań, jakie między nimi zachodziły, były zbyt wielkie, aby ludzie starsi chcieli się nimi zajmować, toteż tym bardziej starali się kapłani o młodsze pokolenie i to było powodem gwałtownego ich sporu. Spór zaostrzał się z każdą chwilą, obaj mężowie gestykulowali coraz gwałtowniej, a ich stronnicy zaczęli już sięgać po krótkie noże lub topory, kiedy przez tłum przecisnął się krępy, rudy człowiek i grzmiącym głosem nakazał zakończenie dysputy.

- Wy kapłani, którzy kłóciecie się o rzeczy nieuchwytnie, jesteście na tym okręcie bardziej niebezpieczni, niż najgroźniejsze burze morskie - zawołał. - Czyż nie zadowala was cześć oddawana Wotanowi, którą wszyscy ku niemu żywimy, ale musicie się sprzeczać o drobiazgi? Jeśli uczenie dzieci masie stać powodem zamętu, zakazę się wam do tego mieszać i pozostawię je pod opieką matek.

Dwaj rozgniewani nauczyciele rozeszli się z niezadowolonymi minami, a Kenny - gdyż on to był - rozkazał zagwizdać i zebrać całą załogę. Podobał mi się sposób bycia tych ludzi, który nie miał w sobie nic z uniżoności. Chociaż Kenna był ich głównym wodzem odnosili się do niego z szacunkiem ale bez zbytniej pokory, co wskazywało, że cenili się bardzo i że uważali go za towarzysza równego im wszystkim.

Przemowa jego do wojowników, z punktu widzenia Rzymianina, niezbyt mi się

podobała, nie zawierała bowiem ani przenośni, ani upiększających ją zwrotów, przyznając jednak, że była przekonującą, chociaż krótką. W każdym razie przypadła im do gustu. Przypomniał w niej, że opuścili ojczyznę, gdyż ziemia w ich kraju była już rozdzieloną między starszych ich ziomków i że nie mogli tam pozostać, jako wolni i niezależni ludzie. Podkreślił, że wyspa Brytania była tylko słabo zaludnioną i że według wszelkiego prawdopodobieństwa każdy z nich znajdzie na niej odpowiednią siedzibę.

- Ty, Whitto - mówił, zwracając się do niektórych po nazwisku - założysz własny dom, a i ty, Bucku, również, a dzieci wasze i dzieci waszych dzieci błogosławić was będą za zdobyte dla nich ziemie.

Nie wspominał o sławie i czekających ich zaszczytach, ale dodał, że nie wątpi w ich odwagę i wie, że spełnią swój obowiązek. Słowa te przyjęli uderzeniem mieczy o tarcze, które było tak silnym, że słyszeli je nawet Brytowie na wybrzeżu. Potem wzrok jego padł na mnie i dowiedziawszy się, że jestem posłem Vortigerna, zaprosił mnie do swojej kabiny, gdzie czekali już Lanc, Hasta i inni wodzowie.

Wyobraź sobie, drogi Cassusie, mnie i tych trzech rostrych barbarzyńców, siedzących w niskiej kabinie. Każdy z nich ubrany był jakby w szafranową tunikę, na której nosił stalową koszulkę. Hełmy ich - przyozdobione rogami wołu, leżały na stole. Jak większość wodzów saksońskich nie nosili brody, ale mieli długie włosy i potężne, płowe wąsy, które spadały im na ramiona. Są to ludzie łagodnego, powolnego usposobienia, może nawet ociążali, ale wyobrażam sobie, że gniew ich musi być straszliwy.

Umysł mają praktyczny, gdyż od razu zaczęli mnie wypytywać o liczbę Brytów, zasoby królestwa, stosunki handlowe i.t.p. Potem zaczęli się zastanawiać nad moimi odpowiedziami i rozprawiali z sobą tak długo, jakby zupełnie o mnie zapomnieli. Postanowienia ich były postanowieniami większości, którym pozostały poddawał się - skoro wniosek jego przegłosowano - czasami niezbyt chętnie. Co więcej, w jednym wypadku Lanc, który w ogóle był innego zdania, niż dwaj inni, zagroził, że odwoła się do całej załogi. Różnice zapatrywań były duże; Kenny i Hasta chcieli działać dla sławy Saksonów i podbijać kraj, Lanc był zdania, aby myślaro nie tyle o podbojach, ile raczej wygodach i korzyściach następców. Mimo to Lanc wydał mi się więcej wojowniczym, niż dwaj inni, gdyż nie mógł zapomnieć towarzyszom, że go przegłosowali. Ale i oni niezbyt wielką darzyli go sympatią, gdyż byli to ludzie dumni, dbający o swoją powagę wodzów i powołujący się stale na szlachetnych przodków, po których odziedziczyli naczelną władzę, podczas gdy Lanc, chociaż dorównywał im urodzeniem, liczył się z opinią pospółstwa twierdząc, że interes ogółu jest ważniejszy, niż przywileje kilku. Jednym słowem Crassusie, przedstaw sobie

wolnomyślnego Grachusa i dwóch zbójceckich patrycjuszów, a zrozumiesz, jakie wrażenie wywarli na mnie ci trzej wodzowie.

Pewien szczegół w rozmowie z nimi wpłynął na mnie uspokajająco. Lubię Brytów, z którymi przeżyłem tyle lat i życzę im dobrze. Przyjąłem zatem z zadowoleniem do wiadomości oświadczenie trzech wodzów, że chodzi im tylko o dobro wyspiarzy. Własne korzyści mają na względzie dopiero, jak twierdzili, na drugim planie. Wydawało mi się niezrozumiałym, dlaczego w takim razie Kenna obiecał w swej przemowie każdemu wojownikowi sto włók ziemi, ale kiedy poprosiłem o wyjaśnienie, trzej wodzowie wyrazili zdziwienie, uczyli się dotknięci i wytłumaczyli z całą życzliwością, że przybywając dla ochrony Brytów, muszą osiedlić się na ich ziemi, aby w każdej chwili mogli spieszyć im z pomocą. Mają nadzieję wyszkolić po pewnym czasie tubylców tak, aby sami stawili opór wrogom. Lanc mówił z wielką swadą o szlachetności misji, jakiej się pojęli, inni wychylili po kubku miodu (garniec z tym nieprzyjemnym napojem stał na stole), na dowód, że są tego samego zdania.

Zauważyłem, że sprawy religijne w wielkim stopniu interesują tych barbarzyńców, ale że są oni bezwzględni w swoich zapatrywaniach. O chrześcijaństwie nie mieli pojęcia i chociaż wiedzieli, że Brytowie są chrześcijanami, nie zdawali sobie sprawy, na czym ich wiara polega. Nie wchodząc w szczegóły, uznawali za pewnik, że ich wiara w Wotana była jedynie prawdziwą i że wszystko inne jest fałszem. „Religia dzikich”, „Smutne przesady” i „Te godne pożałowania błędy” - oto uwagi, jakie robili w rozmowie o religii Chrystusa. Zamiast okazać współczucie dla „błądzących”, nie ukrywali gniewu i nie taili się z planami zaprowadzenia porządku w tej dziedzinie, ściskając rękojeści mieczy.

Ale masz już chyba dość, drogi Crassusie, opowiadania o moich Saksonach. Naszkicowałem ci lud ten i zwyczaje jego w ogólnych zarysach. Od chwili, kiedy list ten rozpocząłem, zwiedziłem jeszcze dwa inne okręty, które przybiły do brzegu, a że na pokładzie ich uderzyły mnie te same charakterystyczne szczegóły, nie wątpię, że są one własnością całej rasy. Zresztą, są to ludzie dzielni, nieustępliwi i wytrwali w każdym przedsięwzięciu, podczas gdy Brytowie, chociaż bardziej pojętni, nie grzeszą wytrwałością; myśli ich wciąż gonią za czymś innym, a ich najgwałtowniejsze namiętności ustępują miejsca stanom zupełnej niewrażliwości. Kiedy tak stałem na pokładzie pierwszego okrętu Saksonów i spoglądałem na zgromadzone na brzegu podniecone tłumy Brytów, porównując ich z otaczającymi mnie milczącymi wojownikami, przyszło mi na” myśl, że tacy sprzymierzeńcy mogą się stać największym niebezpieczeństwem. Wrażenie to było tak silne, że zwróciłem się do Kenny, który również patrzył na wybrzeże. - Będziecie panami tej wyspy pierwej, nim

dopełnicie zobowiązania.

Oczy jego zabłyśły.

- Być może - zawołał. Potem opanował się i sądząc, że powiedział zbyt wiele, dodał:

- Chodzi o opanowanie jej na pewien czas tylko - nic więcej.

ODWIEDZINY

Na wiosnę roku 528 mały bryg kursował jako statek pasażerski między Chalcedonem na wybrzeżu azjatyckim i Konstantynopolem. Rano, w dzień świętego Jerzego, okręt roił się od podróżnych zdążających do wielkiego miasta, aby wziąć udział w pobożnych i imponujących przepychem obrządkach, które składały się na uroczystość Wielkiego Męczennika, jednego z największych świąt w obszernej hagiologii wschodniego Kościoła. Dzień był piękny, dał lekki wietrzyk tak, że odświętnie usposobieni pasażerowie mogli, zupełnie swobodnie, przyglądać się z zainteresowaniem, największej i najpiękniejszej stolicy świata, do której się zbliżali.

Po prawej ręce, w przejażdżce przez wąską cieśninę, widzieli rozciągający się brzeg azjatycki, pokryty plamkami białych miasteczek i licznych willi, które wylaniały się z otaczających je drzew. Wprost przed nimi, Wyspy Książęce, jak zielone szmaragdy na ciemnym, szafirowym błękicie morza Marmara, zakrywały chwilowo widok na miasto. Skoro je bryg opłynął, wielka stolica odsłoniła się nagle przed ich oczyma i na zapelnionym tłumem pokładzie powstał szmer podziwu i zachwytu. Rosła z każdą chwilą, biała, iskrząca się setkami dachów miedzianych i pozłacanych posągów, które lśniły w słońcu, z panującą nad całym miastem wspaniała, promienną kopułą świętej Zofii. Na tle niebios bez chmurki wyglądała jak senne marzenie - za delikatne, za piękne, na ten padół płaczu.

Na przodzie małego statku stało dwóch podróżnych o szczególnym wyglądzie. Jeden z nich był to niepowседневnej piękności chłopiec, w wieku od dziesięciu do dwunastu lat, opalony o delikatnych rysach twarzy, z czarnymi, kręcącymi się włosami i wyrazistymi oczami, w których przebijała inteligencja i radość życia. Drugi był człowiekiem w podeszłym wieku, chudy, z siwą brodą, którego surowe rysy rozjaśniał uśmiech, kiedy obserwował podniecenie i zainteresowanie, z jakim jego młody towarzysz patrzy na cudowne, dalekie miasto i szeregi okrętów, płynących wąską cieśniną.

- Patrz, patrz! - zawołał chłopak. - Spójrz na te wielkie, czerwone statki, które wypływają z tamtego portu. Zapewne wasza świątobliwość, są to największe okręty na ziemi.

Starszy człowiek, który był opatem klasztoru św. Nicefora w Antjochii, położył swoją dłoń na ramieniu młodzieńca.

- Bądź ostrożny, Leonie i nie mów tak głośno, jak długo bowiem nie ujrzymy twojej matki, musimy się kryć. Co do czerwonych galer, są to rzeczywiście wielkie okręty bojowe cesarza, które opuszczają port Teodozjusza. Za tym zielonym cyplem znajduje się złoty róg, gdzie zarzucają kotwicę statki kupieckie. Jeśli spojrzysz teraz Leonie na szeregi budynków

poza wielkim kościołem, zobaczysz długi rząd filarów, wychodzących na morze. To wejście do pałacu Cezarów.

Chłopiec przyglądał się mu z naprężoną uwagą.

- I tam jest moja matka? - szepnął.

- Tak Leonie, matka twoja, cesarzowa Teodora i jej mąż, wielki Justynian mieszkają w tym pałacu.

Chłopiec spojrzał badawczo w twarz starca.

- Czy jesteś pewny, ojcze Łukaszu, że moja matka ucieszy się na mój widok?

Opat odwrócił twarz unikając pytającego wzroku chłopaka.

- Nie wiem, Leonie. Musimy spróbować. Jeśli się okaże, że tam nie ma dla ciebie miejsca, znajdziesz zawsze życzliwe przyjęcie między braćmi świętego Nicefora.

- Czemuż nie ostrzegłeś matki o moim przybyciu, ojcze Łukaszu? Czemu nie czekałeś na jej rozkazy?

- Łatwo odmówić czegoś na odległość. Cesarski wysłannik zatrzymałby nas. Ale kiedy cię zobaczy, Leonie, kiedy ujrzy twoje oczy tak do jej własnych podobne, twoje oblicze, które przypomina kogoś, kogo kochała, wtedy, jeśli ma w piersi serce kobiety, przytuli cię do niego... Mówią, że cesarz niczego nie może jej odmówić. Nie mają dzieci. Czeka cię wielka przyszłość Leonie. Jeśli słowa moje sprawdzą się, nie zapomnij o ubogich braciach z klasztoru św. Nicefora, którzy cię przygarnęli kiedy nie miałeś żadnego na świecie przyjaciela.

Stary opat mówił żartując, ale można było wyczytać z jego niespokojnego oblicza, że im bliższy widział się stolicy, tym bardziej niepewnym wydawało mu się jego przedsięwzięcie. Co w spokojnym klasztorze w Antjochii było prostym i naturalnym, stało się wątpliwym i ciemnym teraz, kiedy w bezpośredniej bliskości iskrzyły się złote domy Konstantynopola. Dziesięć lat temu, kobieta potępiona, której imię było obrazą na wschodzie, z powodu hańby na niej ciążyącej i zarazem osławionej dla niej piękności, zapukała do wrót klasztoru i prosiła mnichów, aby zaopiekowali się jej pierworodnym synem, dziecieniem grzechu. Pozostawiła je w klasztorze. A ona, Teodora, nierządnicą, powróciła do stolicy i dzięki dziwnemu kaprysowi losu stała się zrazu kochanką, potem panią serca następcy tronu Justyniana. Skoro po śmierci wuja swego Justyna, młodzieniec został największym monarchą świata, podniósł Teodorę nie tylko do godności żony i Imperatorowej, ale obdarzył ją władzą absolutną i równą jego władzy. A ona, z bagna wzniosłszy się tak wysoko, wyrzekła się całkowicie swej przeszłości i okazała się niejednokrotnie Wielką Królową, przewyższającą sprytem i siłą charakteru swego małżonka. Dumna, mściwa, nieugięta stała się silną podporą

dla przyjaciół, a postrachem dla wrogów. Do takiej to kobiety prowadził opat Łukasz z Antjochii Leona, jej zapomnianego syna. Jeśli nawet kiedyś myśl jej pobiegła w owe dni, kiedy opuszczona przez kochanka swego, Eubolusa, wielkorządcę afrykańskiego Pentapolis, przebyła pieszo Azję Mniejszą i zostawiła dziecię pod opieką mnichów, to tylko, aby utwierdzić ją w przekonaniu, że bracia, zamknięci w odległym klasztorze, nie poznają nigdy Teodory, opuszczonej wygnanki, w cesarzowej Teodorze i że owoc grzechu pozostanie na zawsze nieznanym jej cesarskiemu małżonkowi.

Mały bryg opłynął teraz cypel Akropolis i przedostał się na niebieskie wody zatoki Złotego Rogu. Wysoki wał Teodozjusza otaczał cały port, ale między nimi i brzegiem morza pozostał mały skrawek zielonego lądu przeznaczony na przystań. Statek przybił do wrót Neoriońskich, a podróżni, po krótkich oględzinach przez grupę ubranych w hełmy strażników, wypuszczeni zostali do wielkiego miasta.

Opat, który niejednokrotnie już bawił w Konstantynopolu w sprawach swojego klasztoru, ruszył naprzód pewnym krokiem, podczas gdy chłopiec zaniepokojony, ale i upojony zarazem gwarem, turkotem i trzaskiem przejeżdżających powozów i widowiskiem wspaniałych budynków, trzymał się u boku swego przewodnika, rozglądając się jednak ciekawie dokoła.

Przez wąskie i strome ulice, które wiodły od morza, przedostali się na wielki plac, otaczające wspaniałe zabudowania kościoła św. Zofii, zaczętego przez Konstantyna, poświęconego przez św. Chryzostoma, a obecnie siedzibę patriarchy i ośrodek Wschodniego Kościoła. Po licznych przyklęgnięciach i zwrotach udało się pobożnemu opatowi przejść przez otoczony czcią przybytek, aby dążyć dalej do celu.

Minąwszy świętą Zofię, dwaj podróżni przedostali się po marmurowych płytach Augusteum przed pozłacane odrzwia hippodromu, gdzie tłoczyła się wielka liczba ludzi, gdyż mimo uroczystego ранego święta, popołudniu miały się tu odbyć igrzyska. Ciżba była tak wielka, że obu podróżnym z wielką trudnością przychodziło się przez tłum przepychać do ogromnej, półkolistej, wysadzonej marmurem bramy zewnętrznej pałacu. Tu zatrzymała ich bez ceremonii straż we wspaniałych, przetkanych złotem szatach, która przyłożywszy im do piersi oszczepy, czekała na rozkaz oficera, pozwalający wejść do pałacu. Opat wiedział jednak, że wszystkie przeszkody usunie powołanie się na eunucha Bazylego, który sprawował urząd szambelana i Parakimomena - godność oznaczającą, że spał u drzwi cesarskiej sypialni. Znajomości poskutkowały, gdyż na dźwięk tego potężnego imienia Protosfater, czyli Naczelnik Gwardii Pałacowej, który właśnie był na miejscu, odkomenderował natychmiast jednego z żołnierzy, z poleceniem zaprowadzenia dwóch obcych przed oblicze szambelana.

Minąwszy straż przy drzwiach środkowych i wewnętrznych, podróżni weszli w końcu do właściwego pałacu i ruszyli za majestatycznym przewodnikiem przez szereg pokoi, z których jeden wydawał się piękniejszy, niż drugi. Marmur i złoto, jedwab i srebro, lśniące mozaiki, wspaniałe rzeźby, wysadzone kością słoniową siedzenia z tkanin armeńskich i indyjskiego atłasu, broń z Arabii i kadzidło z Bałtyku - wszystko to zlewało się w umysłach dwóch prostych mieszkańców prowincji, aż oczy zaczęły boleć, a zmysł mącił się od blasku i przepychu tego najwspanialszego z mieszkań człowieka. W końcu otwarły się drzwi wysadzone złotem i przewodnik powierzył podróżnych opiece niemego Murzyna, który stał poza nimi. Wielki, tłusty, o brunatnej skórze człowiek, z szeroką, obrzękłą twarzą bez zarostu, chodził tam i z powrotem po małym pokoiku. Zwrócił się do nich z groźnym uśmiechem. Jego zwisające wargi i opadnięte policzki przypominały starą, tłustą kobietę, ale ponad nimi świeciła para czarnych, złośliwych oczu, pełnych dzikości, sprytu i inteligencji.

- Weszliście do pałacu powołując się na mnie - rzekł. - Jestem dumny, jeśli ktoś chce się ze mną widzieć przed innymi, ale biada tym, którzy to robią bez ważnego powodu.

Uśmiechnął się znowu, uśmiechem, który kazał przestraszonemu chłopcu przytulić się do szorstkiej sukni opata.

Ale duchowny był człowiekiem odważnym. Zgoła niezmierny srogim wyglądem wielkiego szambelana i groźbą, jaką czytał w jego słowach, położył rękę na ramieniu swego młodego towarzysza i spojrzał na eunucha z porozumiewawczym uśmiechem.

- Nie wątpię, ekscelencjo - rzekł, - że misja moja i jej ważność uprawnia mnie do wejścia do pałacu. Jediną troską moją to fakt, że muszę, ze względu na wierność, ukryć powód przybycia przed tobą i przed każdym człowiekiem, za wyjątkiem cesarzowej Teodory, którą to bezpośrednio obchodzi.

Gęste brwi eunucha ściągnęły się nad jego złośliwymi oczami.

- Musisz się wytłumaczyć - rzekł. - Jeśli pan mój miłościwy, wspaniały Imperator Justynian, nie waha się powierzać mi największych tajemnic, byłoby dziwnym, gdybym nie mógł usłyszeć tego, co ty mi powiesz. Jesteś, jak wnoszę z twej sukni i zachowania się, opatem jakiegoś klasztoru w Azji.

- Nie mylisz się, ekscelencjo. Jestem opatem klasztoru świętego Nicefora w Antjochi. Powtarzam jednak, że to, co mam powiedzieć, powiem tylko cesarzowej Teodorze.

Eunuch był widocznie zdumiony, a jego ciekawość wzrosła wobec uporu starca. Podeszedł bliżej, z wysuniętą naprzód twarzą i oparł tłuste, brunatne ręce, podobne z wyglądu do gąbek, na stoliku z żółtego jaspisu, który stał przed nim.

- Słuchaj starcze! - rzekł. - Nie ma tajemnic, obchodzących cesarzową, o których ja

nie mógłbym wiedzieć. Ale jeśli będziesz milczał, mogę cię zapewnić, że cesarzowej nigdy nie zobaczysz. Miałbym cię do niej wpuścić, nie znając powodu twojego przybycia? Mógłbyś być jakimś manichejskim heretykiem, który ze sztyletem w zanadrzu, łaknie krwi matki naszego Kościoła?

Opat zaczął się wahać.

- Jeśli jakieś zło z tego wyniknie, niech spadnie na twoją głowę! - rzekł. - Wiedz, że ten chłopiec imieniem Leon, jest synem cesarzowej Teodory, pozostawionym przez nią w naszym klasztorze, w miesiąc po urodzeniu się jego, przed dziesięciu laty. Ten papirus okaże, że mówię prawdę.

Eunuch Bazyli wziął papier, ale wzrok utkwiał w chłopcu. Rysy jego twarzy przedstawiały mieszaninę zdziwienia i chytryści, która nakazywała wyciągnąć korzyść ze zwierzenia mnicha.

- W istocie jest żywym odbiciem cesarzowej - mruknął, a potem z nagłym podejrzeniem, rzekł: - Czy to przypadkiem nie owe podobieństwo nasunęło ci tę myśl do głowy?

- Jest na to jedna tylko odpowiedź - rzekł opat. - Zapytaj cesarzowej, czy mówię prawdę i przynieś jej wesołą wieść, że syn jej żyje i ma się dobrze.

Pewność, z jaką starzec wygłaszał te słowa wraz ze świadectwem na papirusie i widokiem pięknej twarzy chłopca, usunęły ostatnie wątpliwości z umysłu eunucha. Było to wielkie odkrycie, ale w jaki sposób miał je wykorzystać? Jaką korzyść mogło mu przynieść? Wsparł tłustą twarz na dłoni, bijąc się z myślami.

- Ilu ludziom, starcze - rzekł w końcu - powierzyłeś już swoją tajemnicę?

- Nikomu na świecie - odparł tamten. - Zna ją, oprócz mnie, tylko diakon Bardas w klasztorze. Nikt więcej.

- Jesteś tego pewny?

- Jak najpewniejszy.

Eunuch był zdecydowany. Jeśli on jedyny w pałacu stał się panem tajemnicy, zyskać może wielki wpływ na swą władczynię. Był pewny, że cesarz Justynian nie wie o niczym. Byłby to dla niego straszny cios. Mógłby się nawet poróżnić z żoną. Zapewne cesarzowa poczyni kroki, aby się nie dowiedział o niczym. A jeśli on, Bazyli, stanie się jej powiernikiem, zobowiąże ją sobie raz na zawsze. Wszystko to przebiegło mu w jednej chwili przez głowę, kiedy stał, z papirusem w ręku, spoglądając na starca i na chłopaka.

- Zaczekajcie tutaj - rzekła. - Zaraz powrócę. Wśród szelestu jedwabnych sukni zniknął w pokoju.

W kilka minut potem zasłona w kącie komnaty odchyliła się i eunuch, zjawiwszy się znowu, przytrzymał ją rękami, zginając się w pół w kornym ukłonie. Do pokoju weszła wysokiego wzrostu, zwinna kobieta, przybrana w złotem tkane szaty, z zarzuconym swobodnie purpurowym płaszczem i w cesarskich trzewikach.

Już sama purpura wskazywała, że mogła to być tylko cesarzowa, ale dumna postawa, siła wzroku jej wspaniałych, czarnych oczu i doskonała piękność pełnego majestatu oblicza, wszystko świadczyło, że była to Teodora, która mimo niskiego pochodzenia, stała się najdostojniejszą i najbardziej pociągającą kobietą w swym państwie. Zapomniane zostały głupie sztuczki, których córka niedźwiednika Acaciusza nauczyła się w amfiteatrze. Zapomniana została bezceremonialna swoboda kobiety lekkiego prowadzenia się, a to, co zostało, godnym było małżonki wielkiego króla. Sposób bycia nowoprzybyłej wskazywał, że czuła się cesarzową w każdym calu.

Nie zwracając uwagi na obu mężczyzn, Teodora podeszła do chłopca, złożyła białe dłonie na jego ramionach i zaczęła się przyglądać wzrokiem badawczym, wzrokiem, który był zrazu mocno podejrzliwy, a stał się w końcu tkliwym, tym wielkim, promiennym oczom, które były odbiciem jej własnych. W pierwszej chwili wrażliwy chłopak czuł się onieśmielony tym zimnym, badawczym spojrzeniem. Ale kiedy wzrok jej złagodniał, jego usposobienie uległo zmianie i w końcu z okrzykiem: „mamo! mamoo!”, rzucił się w jej ramiona, objął ją za szyję, kryjąc głowę na jej piersi. Pod wpływem naturalnego, nagłego wzruszenia ramiona jej zacisnęły się dokoła kibici chłopca i przytuliła go na chwilę do serca. Ale natychmiast wrodzona cesarzowej siła charakteru odniosła zwycięstwo nad przejściową słabością matki. Odtrąciła go od siebie i dała rozkaz, aby ją pozostawiono samą. Niewolnicy przyboczni wyprowadzili gości z komnaty. Eunuch Bazylis zatrzymał się, patrząc badawczo na swoją panią, która usiadła na damasceńskich poduszkach, z białymi wargami i falującą od wzruszenia pierś. Podniosła oczy i spotkała się z przenikliwym wzrokiem kanclerza, czytając w nim groźbę.

- Jestem w twojej mocy - rzekła. - Cesarz nie może wiedzieć o niczym.

- Ja jestem twoim niewolnikiem - rzekł eunuch z dwuznacznym uśmiechem. - Jestem narzędziem w twojej dłoni. Jeśli życzeniem twoim jest, aby cesarz nie dowiedział się o niczym, nie ma człowieka, któryby rzekł mu choć słowo.

- A mnich? A chłopiec? Co z nimi począć?

- Jest tylko jedna droga - rzekł eunuch. Spojrzała na niego przerażonymi oczami. Jego gąbczaste ręce wskazywały ku ziemi. W tym pięknym pałacu znajdowały się podziemia, do których światło nigdy nie dochodziło, kraina posępnych korytarzy, ciemnych zakątków,

cichych, pozbawionych języka niewolników i nagłych, rozdzierających krzyków wśród mroku. Eunuch wskazywał ku nim.

W piersiach jej wrzała straszliwa walka. Wszak ten piękny chłopiec był jej synem, krwią z jej krwi, kością z kości. Tego była pewna. Było to jej jedyne dziecko, do którego rwała się całą duszą. Ale Justynian! Znała dziwne uprzedzenie cesarza. Zapomniał o jej przeszłości. Zarzucił na nią zasłonę, wydając specjalny dekret cesarski i ogłaszając go w całym państwie. Dzięki swej władzy i przez związanie jej osoby ze swoją, kazał jej rozpocząć życie na nowo. Ale nie mieli dzieci, a widok jej dziecka, które nie było i jego dzieckiem, uraziłoby go do żywego. Wymazał jej przeszłość ze swej pamięci, ale czyż nie przypominałaby się mu w realnych kształtach tego pięknego dziecka? Instynkt kobiecy i dokładna znajomość mężczyzn mówiły jej, że w tym wypadku nawet piękność i wpływ nie uchroniłyby jej od zguby. Utrzymywała się na stromym szczycie, najwyższym szczycie na ziemi, skąd upadek byłby tym straszniejszy. Rozwód był dla cesarza równie łatwym, jak jej wyniesienie. Dziś wszystko było u jej stóp. Miała narazić się na zgubę i dlaczego? Przez słabość niegodną cesarzowej, dla głupiego, nowobudującego się uczucia, dla kogoś, o kim jeszcze dziś rano nie myślała nawet? Jakże była nierozsądna, aby rzeczywistość poświęcić dla nieuchwytnego cienia.

- Ja już to załatwię - mówiło brunatne, patrzące na nią badawczo oblicze.

- Więc... śmierć?

- Byłoby to najpewniejsze. Ale jeśli serce twoje jest zbyt miłosierne, to utrata wzroku i mowy...

- Nie, nie! Lepsza śmierć!

- Niech będzie zatem śmierć. Mądrą jesteś, wielka cesarzowo. Tylko śmierć chroni pewnie i daje spokój.

- A mnich?

- Zginie również.

- A święty Synod? Jest przecież księdzem. Co powie patriarcha?

- A więc wyrwij mu język, a potem puść wolno. Skąd mamy wiedzieć, tu, w pałacu, że spiskowiec schwytyany z ukrytym w rękawie sztyletem, jest rzeczywiście tym, za kogo się podaje?

Wzdrygnęła się znowu i opadła na poduszki.

- Nie mów o tym. Nie myśl o tym - rzekł eunuch. - Oddaj ich tylko w moje ręce. Nie, jeśli nie możesz wyrzec słowa, skiń głową, a ja zrozumie.

W tej chwili zdawało się Teodorze, że widzi wszystkich swoich wrogów, wszystkich,

którzy zazdrościli jej wyniesienia, wszystkich, których nienawiść i wzgarda zamieniłaby się w radość niepohamowaną, gdyby ujrzeli, że córka niedźwiednika spada z powrotem w przepaść, z której się wydostała. Jej twarz stała się groźną, zęby zacisnęły się, drobne dłonie splotły konwulsyjnie na myśl o tej ewentualności.

- Czyń, co chcesz! - rzekła.

W jednej chwili, ze straszliwym uśmiechem, wysłannik śmierci zniknął z pokoju. Wydała głośny jęk i wtuliła się między jedwabne poduszki, szarpiąc je nerwowo drżącymi i bezsilnymi rękami.

Eunuch nie tracił czasu, gdyż po wykonaniu swego zadania stawał się - pominąwszy jakiegoś nic nie znaczącego mnicha w Malej Azji, którego los również był przypieczętowany - jedynym panem tajemnicy Teodory, a przez to jedyną osobą, która mogła ugiąć i poskromić tę samowładną naturę. Wszedłszy do pokoju, gdzie czekali goście, dał groźny znak, zbyt dobrze znany w tych srogich czasach. W jednej chwili niemi siepacze chwycili starca i chłopaka, popychając ich szybko na schody wiadomej części pałacu, gdzie przejmujący, słodkawy zapach potraw wskazywał na sąsiedztwo kuchni. Mroczny korytarz wiodł do ciężkich, żelaznych drzwi, które prowadziły na stromy, kamienny chodnik, słabo oświetlony migotliwymi lampami ściennymi. Na początku i końcu stał na straży, jak statua z hebanu, niemy niewolnik, a w dole, wzdłuż ciemnych i budzących wstręt korytarzy, prowadzących do cel, szereg nisz w ścianie zajęty był również przez podobnych strażników. Nieszczęsnych gości zawleczono brutalnie przez niezliczoną ilość wykładanych kamiennymi płytami, mrocznych chodników, na drugie schody, które wiodły głęboko pod ziemię. Wilgoć unosząca się w ciężkim powietrzu i szelest kropel spadających dokoła wskazywały, że znajdowali się pod poziomem morza. Jęki i krzyki, jakby dręczonych zwierząt, dobywające się z poza licznych, okratowanych drzwi, które mijali, świadczyły, jak znaczna liczba ludzi spędzała tu, w wilgotnym i zatrutym powietrzu, całe swoje życie.

Na końcu tego najgłębszego chodnika znajdowały się drzwi prowadzące do odosobnionego pokoju, o wysokich sklepieniach. Nie było tu żadnych mebli, jedynie na środku stał wielki, ciężki, drewniany kloc obity żelazem. Leżał na prostym, kamiennym parapecie, pokrytym napisami, obcymi dla uczonych Wschodu, gdyż ta stara studnia pochodziła jeszcze z czasu przed założeniem Bizancjum przez Greków, kiedy Chaldejczycy i Fenicjanie stawiali, z olbrzymich, nieociosanych bloków skalnych, fundamenty pod przyszłe miasto Konstantyna. Drzwi zamknięto i eunuch dał znak niewolnikom, aby zdjęli pokrywę, która osłaniała wejście do studni śmierci. Przestraszony chłopiec krzyczał i tulił się do opata, który biały, jak popiół i drżący, starał się usilnie zmiękczyć serce groźnego eunucha.

- Jak to, chcecie zabić niewinnego chłopca? - wołał. - Cóż uczynił? Czyż to jego wina, że tu przybył? Ja jeden, ja i diakon Bardas, winienem być ukarany. Mamy już niewiele dni życia przed sobą. Ale on, piękny i młody, do niego uśmiecha się przyszłość. Och! Panie! Och, ekscelencjo, nie będziesz miał serca zrobić mu krzywdy?

Padł na ziemię i objął eunucha za kolana, podczas gdy chłopiec łkał głośno i patrzył przerażonymi oczami na czarnych niewolników, którzy ściągali drewniany kloc ze starożytnego parapetu. Jedyną odpowiedzią, jaką dał szambelan na rozpaczliwe prośby opata, było wzięcie kamienia leżącego na obmurowaniu i wrzucenie go do wnętrza studni. Słysząc było, jak obija się o stare, wilgotne, pokryte pleśnią ściany i wpada z głuchym pluskiem gdzieś w głębi do podziemnego stawu. Eunuch dał znów znak ręką i czarni niewolnicy rzucili się na chłopca, odrywając go od opiekuna. Krzyk, jaki wydał, był tak głośny, że nikt nie usłyszał zbliżania się cesarzowej. Szybkim krokiem weszła do miejsca kaźni i zarzuciła ręce na szyję synowi.

- To nie może być! To być nie może! - krzyknęła. - Nie! Mój skarbie! Mój skarbie! Nie zrobię ci nic złego. Jestem szalona, szalona i przeklęta, że myśl podobna zbudziła się w moim mózgu. Och! Mój słodki chłopczyku! Pomyśleć, że mogłam mieć twoją śmierć na sumieniu!

Brwi eunucha ściągnęły się, kiedy spostrzegł, że mu pokrzyżowano plany i że ostatecznie zwyciężył kobiecy kaprys.

- Czemuż zabijać, pani miłościwa, jeśli to boli twe litościwe serce? - rzekł. - Nożem i rozżarzonym żelazem można ich unieszkodliwić na zawsze.

Nie zwracała uwagi na jego słowa.

- Ucałuj mnie, Leonie! Niech jeszcze raz uczuję słodkie usta dziecka mojego na moich wargach. Jeszcze raz! Nie, już nie, gdyż może mi zabraknąć odwagi do działania. Starcze, stoisz nad grobem i nie przypuszczam, wnosząc z twej czcigodnej twarzy, abyś był zdolny do zdrady. Zachowałeś moją tajemnicę przez całe lata, nieprawdaż?

- Tak jest, wielka cesarzowo. Przysięgam ci na św. Nicefora, patrona naszego domu, że za wyjątkiem diakona Bardasa, nie zna jej nikt na świecie.

- A zatem milcz nadal. Jeśli nie zdradziłeś mnie dotąd, nie widzę powodu, dlaczego miałbyś paplać w przyszłości. A ty, Leonie - spojrzała na niego swymi cudownymi oczami, w których miłość i groźba toczyły ze sobą walkę. - Czy mogę ci zawierzyć? Czy dochowasz tajemnicy, która ci nic nie przyniesie, a stać się może powodem upadku i zguby twojej matki?

- Och, mamó, nie chcę ci zrobić żadnej krzywdy! Przysięgam, że będę milczał!

- Ufam wam. Każę zaopatrzyć klasztor i was tak hojnie, że błogosławić będziecie

dzień przybycia do pałacu. Teraz odejdźcie. Nie chcę was więcej widzieć. Moglibyście mnie kiedyś widzieć w lepszym lub gorszym usposobieniu, co stałoby się powodem mojej lub waszej zguby. Jeśli jednak usłyszę, że mnie oszukaliście, zgotuję wam, waszym mnichom i waszemu klasztorowi taki koniec, że stanie się on przykładem dla tych wszystkich, którzy chcieliby w przyszłości nadużyć zaufania cesarzowej.

- Będę milczał - rzekł stary opat - i diakon Bardas będzie milczał, i Leon. Odpowiadam za nas trzech. Ale są inni, ci niewolnicy, kanclerz... Może nas spotkać kara za cudze winy.

- Nie - rzekła cesarzowa, a jej oczy zabłyśły jak płomienie. - Ci niewolnicy nie mogą mówić, zresztą nie mają możliwości zdradzenia tajemnicy. Co do ciebie, Bazyl...

Podniosła białą dłoń dając ten sam, groźny znak, jakiego eunuch użył wcześniej. Czarni niewolnicy rzucili się na niego jak psy na zdobycz.

- Och, miłościwa władczyni, droga pani, co to ma znaczyć? Czyżbyś chciała?... - wrzeszczał ochryłym głosem. - Co uczyniłem? Czemu mam umrzeć?

- Chciałeś mnie poszczuć na własne dziecko. Chciałeś, bym zabiła własnego syna. Chciałeś wyzyskać moją tajemnicę na moją niekorzyść. Czytałam to z twoich oczu od pierwszej chwili. Krwawy, okrutny kacie, zakosztuj mąk, na które tylu innych skazałeś. Taka będzie twoja śmierć.

Starzec i chłopak wybiegli przerażeni z kaźni. Obejrżeli się jeszcze raz i ujrzeli nieruchomą, kapiącą od złota, świetną postać cesarzowej. Poza nią mignęło im na chwilę przed oczami pokryte pleśnią obmurowanie studni i wielka, czerwona, rozwarta gęba eunucha, który darł się i skomlał o litość, podczas gdy ciągnący go niewolnicy zbliżali się krok za krokiem do brzegu otchłani. Zatykając sobie uszy rękoma uciekali, ale nie przeszkodziło im to usłyszeć ostatni, jakby kobiecy krzyk ofiary, a potem głuchy plusk w czarnych czeluściach.

CZERWONA GWIAZDA

Dom Teodozjusza, sławnego kupca wschodniego wznosił się w najpiękniejszej dzielnicy Konstantynopola, na Cyplu Haskin, obok kościoła św. Demetriusza. Tutaj przyjmował on gości w tak książęcy sposób, że jak mówiono, nawet cesarz Maurycy wymykał się z sąsiedniego pałacu Buceleon, aby wziąć udział w zabawie. Tej nocy jednakże t.j. czwartego listopada roku Pańskiego 630 liczni jego goście odeszli wcześniej, a pozostało z nim tylko dwóch serdecznych przyjaciół, którzy również jak i on sam, byli zamożnymi kupcami. Siedzieli razem przy winie na wyłożonej marmurem werandzie jego domu, skąd z jednej strony widać było światła okrętów na Morzu Marmara, z drugiej latarnie morskie, które oznaczały bieg Bosforu. Tuż u ich stóp leżała wąska cieśnina, a za nią widać było ciemne zarysy wzgórz po stronie azjatyckiej. Lekka mgła zakrywała niebiosa, lecz w oddali, na południu, płonęła posepnym blaskiem w ciemnościach wielka, czerwona gwiazda.

Noc była zimna, a trzech mężczyźni gawędzili swobodnie w łagodnym świetle, przypominając sobie dni minione, kiedy stawiali na kartę swój majątek, a często i życie na wyprawach, w których zdobyli obecne bogactwa. Gospodarz mówił o swoich dalekich podróżach w północnej Afryce, krainie Murzynów; jak płynął, mając błękitne morze zawsze po prawej ręce, aż minął zwaliska Kartaginy, a potem jechał dalej i coraz to dalej, aż ujrzał potężne fale oceanu, rozbijające się o żółte brzegi, a po prawej stronie, wychylającą się z morza wysoką skałę, która oznaczała Słupy Herkulesa. Mówił o czarnych, brodatych ludziach, o lwach i olbrzymich wężach. A potem Demetriusz z Cylicyi, poważny, sześćdziesięcioletni mężczyzna opowiadał, w jaki sposób zebrał swoje ogromne bogactwa. Mówił o podróży poza Dunaj i przez dzierżawy dzikich Hunów, jak znalazł się z przyjaciółmi w potężnych lasach Germanii, na wybrzeżach wielkiej rzeki, która się zwie Łabą. Opowiadał o wielkoludach, gnuśnych lecz krwiożerczych przy kielichach, o niespodziewanych bitwach o północy i nocnych ucieczkach, o wioskach zagrzebanych w leśnej gęstwinie, o krwawych ofiarach pogańskich i o niedźwiedziach i wilkach, które grasowały na leśnych ścieżynach. Tak to dwaj starsi mężczyźni prześcigali się w opowiadaniach i budzili wzajemne wspomnienia, a Manuel Ducas, młody kupiec, handlujący złotem i strusimi jajami, którego imię było sławne na całym Wschodzie, siedział w milczeniu i przysłuchiwał się ich pogawędce. W końcu jednak zwrócił się do niego z prośbą o anegdotę, a on wsparłszy się na łokciu i wlepiwszy oczy w wielką gwiazdę czerwoną, która świeciła na południu, tak zaczął mówić.

- Widok tej gwiazdy przypomina mi pewne wydarzenie - rzekł. - Nie znam jej imienia.

Stary Lascaris opowiedziałby mi zapewne o niej, ale to rzecz dla mnie obojętna. Wyglądam jej jednak zawsze o tej porze roku i widzę ją corocznie, świecąca w tym samym miejscu. Zdaje mi się tylko, że jest bardziej czerwoną i większą, niż dawniej.

Przed dziesięciu laty wybrałem się do Abisynii, gdzie handlowałem z tak pomyślnym skutkiem, że w drodze powrotnej zabrać z sobą mogłem z górą sto wielbłądów, objuczonych skórą, kością słoniową, złotem, korzeniami i innymi płodami afrykańskimi. Dowiozłem wszystko do Arsinoe, na morskim wybrzeżu i w pięciu małych łodziach krajowych przepłynąłem się przez Zatokę Arabską. W końcu wylądowałem w pobliżu Saby, która jest punktem wyjścia dla karawan, a zebrawszy wielbłądy i wynajawszy straż z czterdziestu ludzi, spośród koczowniczych Arabów, wyruszyłem do Makoraby. W miejscowości tej, która jest świętym miastem tamtejszych bałwochwalców, można się zawsze przyłączyć do wielkich karawan, które dwa razy na rok wyruszają do Jerozolimy i na wybrzeża Syrii.

Droga nasza była długa i uciążliwa. Po lewej stronie mieliśmy Zatokę Arabską, iskrzącą się w skwarny dzień, jak jezioro roztopionego metalu, lecz zamieniającą się pod wieczór, kiedy słońce zachodziło za dalekim brzegiem Afryki w morze czerwieni. Po prawej znajdowała się ogromna pustynia, rozciągająca się, o ile mi wiadomo, przez całą Arabię i jeszcze dalej do granic królestwa Persów. Przez wiele dni nie widzieliśmy żadnych śladów życia, za wyjątkiem długiej, nieregularnej linii naszych objuczonych wielbłądów i ich obszarpanych, ogorzałych dozorców. W tej pustyni miękki piasek zagłusza kroki zwierząt, tak że ich ciche stapanie, dzień za dniem, wśród monotonnej i równie bezgłośnej scenerii, staje się w końcu podobne do dziwnego jakiegoś snu. Często, gdy jechałem za swą karawaną, przyglądając się groteskowym postaciom, dźwigającym mój dobytek, z trudem mogłem uwierzyć, że byłem tym samym Manuelem Ducasem, który mieszkał obok Bramy Teodozjusza w Konstantynopolu i w każdą niedzielę po południu oklaskiwał Zielonych w hippodromie, a który teraz znalazł się w tak dziwnym kraju i w tak niezwykłym towarzystwie.

Od czasu do czasu, daleko na morzu widzieliśmy białe, trójkątne żagle łodzi tamtejszych mieszkańców, lecz ponieważ są to wszystko piraci, byliśmy zadowoleni, że się znajdujemy na brzegu. Raz czy dwa razy ujrzeliśmy również na wybrzeżu morskim karłowate stworzenia - trudno powiedzieć czy to byli ludzie, czy małpy - które mieszkają w norach wśród wodorostów, piją słonawą, bagienną wodę i jedzą co zdołają złowić. Są to zjadacze ryb, Ichtyofagowie, o których mówi stary Herodot - niewątpliwie istoty ludzkie najniższego rzędu. Nasi Arabowie odnosili się do nich ze wstrętem, gdyż jest rzeczą ogólnie znaną, że jeśli kto umrze w pustyni ludzie ci rzucają się na niego jak wrony na padlinę, nie zostawiają jednej kości nie ogryzionej. Wyli i skrzeczeli wymachując chudymi rękami na nasz widok,

wiedząc dobrze, że mogą rzucić się do morza, gdybyśmy chcieli ich ścigać, gdyż jak mówią, nawet rekin nie chce tknąć ich plugawego cielska.

Podróżowaliśmy w ten sposób przez dziesięć dni rozbijając co wieczór obóz przy nędznych studniach, które nam dostarczały małe ilości obrzydliwej wody. Wstawaliśmy zazwyczaj bardzo wcześnie i podróżowaliśmy do późnej nocy, lecz musieliśmy się zatrzymać po południu z powodu nieznośnego upału i wówczas z braku drzew, kładliśmy się w cieniu piaszczystych wzgórz lub w najgorszym razie za naszymi własnymi wielbłędami i towarami, aby się ukryć przed palącymi promieniami słońca. Siódmego dnia znaleźliśmy się w pobliżu miejsca, gdzie szlak porzuca morskie wybrzeże i zwraca się w głąb lądu ku Makorabie. Było to po naszym zwyczajnym, popołudniowym popasie i mieliśmy właśnie ruszyć w dalszą drogę, chociaż słońce dopiekało jeszcze mocno, kiedy wzniosłszy oczy, ujrzałem niezwykle widok. Na szczycie wzgórza po prawej ręce, stał człowiek wysoki na jakieś czterdzieści stóp, dzierżąc oszczep, wielki jak maszt dużego okrętu. Przyglądacie mi się zdumieni przyjaciele, możecie zatem sobie wyobrazić moje uczucia, na ten widok. Ale po chwili zastanowienia, przyszedłem do przekonania, że stojąca przede mną postać była w rzeczywistości wędrownym Arabem, którego kształty ulegały wyolbrzymieniu dzięki załamaniu światła, jakie trafia się często w gorącym powietrzu pustyni. Jednakże rzeczywiste zjawisko wywołało wśród moich towarzyszy większy niepokój, niż we mnie owe urojenie. Z wyciem przerażenia skupili się w wylęknioną gromadkę, przyglądając się wśród żywej gestykulacji, dalekiej postaci. Zauważyłem teraz, że człowiek ów nie był sam, lecz z poza wszystkich wzgórz piaszczystych przyglądało się nam szereg głów ubranych w turbany. Dowódca eskorty przybiegłszy, objaśnił mi, co było powodem ich przerażenia. Rozpoznali mianowicie po jakimś szczególe w ubiorze głowy, że ludzie ci należeli do plemienia Dilosów, najdzikszego i najbardziej krwiożerczego spośród Beduinów, którzy widocznie urządzili na nas zasadzkę w tym miejscu, z zamiarem schwywania całej karawany. Kiedy pomyślałem o wszystkich moich wysiłkach w Abisynii, o długiej podróży, niebezpieczeństwach i trudach, które zniosłem, nie mogłem pogodzić się z myślą, aby w ostatniej chwili spotkała mnie zupełna klęska, pozbawiając mnie nie tylko zysku, lecz także pierwotnego kapitału. Było jednak rzeczą widoczną, że obrona wobec tak wielkiej liczby rozbójników, nie miała żadnego celu i że będziemy bardzo szczęśliwi, jeśli ujdziemy z życiem. Siadłszy zatem na pakunku, oddawałem się w opiekę patronce naszej świętej Helenie, przyglądając się z rozpaczą podchodzącym coraz bliżej i ukradkiem groźnym rozbójnikom arabskim.

Może było to nasze własne szczęście, a może wpływ hojnej ofiary ćwierćfuntowych świec z pszczelego wosku, które ślubowałem w duszy świętej Helenie, dość, że w tej chwili

usłyszałem głośny okrzyk radości moich towarzyszy. Stanąwszy na pakunku, abym mógł lepiej widzieć, ujrzałem ku niewymownej mej radości, długą karawanę, złożoną co najmniej z pięciuset wielbłądów, z liczną i uzbrojoną strażą, zbliżającą się drogą z Makoraby. Nie potrzebuję wam mówić, że zwyczajem karawan jest łączyć swe siły, celem obrony przed pustynnymi rozbójnikami tak, że przy pomocy nowoprzybyłych staliśmy się partią silniejszą. Rabusie zmiarkowali od razu i zniknęli, jakby zapadli się w rodzime piaski. Pobiegszy na szczyt piaszczystego wzgórza, dostrzec mogłem zaledwie tuman kurzu, oddalający się na żółtej równinie, a w nim długie szyje ich wielbłądów, ich rozwiane szaty i błyski oszczepów. Tak znikli rabusie.

Przekonałem się jednak wkrótce, że grozi mi teraz nowe niebezpieczeństwo. Miałem zrazu nadzieję, że nowa karawana należy do jakiegoś rzymskiego obywatela, a przynajmniej chrześcijanina z Syrii, ale zobaczyłem niebawem, że składa się z samych Arabów. Handlarze arabscy, którzy mieszkają w licznych miastach Arabii są, rzecz prosta, bardziej pokojowo usposobieni, niż dzicy Beduini, ci synowie Izmaela, o których czytamy w Piśmie Świętym. Lecz plemię Arabów jest chciwe i nieposkromione, toteż kiedy w liczbie kilkuset otoczyli półkolem nasze wielbłądy, patrząc pożądlivym wzrokiem na należące do mnie skrzynie szlachetnych kruszców i paki ze strusimi piórami, obawiałem się najgorszego. Wodzem karawany był człowiek pełen godności, o szlachetnej postawie. Sądzę, że mógł mieć lat około czterdziestu. Miał orle rysy, ładną czarną brodę i tak błyszczące, badawcze i przenikliwe oczy, że nie przypominam sobie, abym widział podobne im w ciągu wszystkich moich wędrówek. Na moje podziękowania i przywitanie odpowiedział formalnym ukłonem i stał w milczeniu, gładząc swoją brodę i spoglądając na bogactwa, które niespodziewanie wpadły w jego ręce. Pomruk ze strony jego towarzyszy wskazywał, jak niecierpliwie wyczekiwali rozkazu rzucenia się na zdobycz, a młody zbój, który zdawał się być z dowódcą na poufałej stopie, podeszedłszy bliżej, przedstawił mu życzenia swych towarzyszy.

- Nie ulega wątpliwości, wielce czcigodny panie - rzekł - że ludzi tych i ich skarby los oddał w nasze ręce. Gdy powrócimy do świętego miasta, któż z pomiędzy Koraiszów nie ujrzy w tym palca Bożego, który nas prowadził?

Ale przywódca wstrząsnął głową.

- Nie Ali - odrzekł - to być nie może. Człowiek ten jest, jak sądzą obywatel rzymskim, nie możemy zatem traktować go jak bałwochwalcę.

- Ależ to niewierny - zawołał młodzieniec, chwytając za wielki nóż, wiszący mu u pasa. - Gdybym ja był sędzią, straciłby nie tylko towary, lecz i życie swoje, jeśliby nie przyjął naszej wiary.

Starszy mężczyzna potrzęsął głową z uśmiechem.

- Z ciebie szalona głowa, Ali - rzekł - gdyż jak dotąd, nie ma na świecie więcej, jak trzystu wiernych. Mielibyśmy zbyt wiele pracy, gdybyśmy chcieli odbierać życie i mienie tym, którzy nie są z nami. Nie zapominaj drogi chłopcze, że miłość bliźniego i prawość charakteru są dźwignią i podporą prawdziwej wiary.

- Wśród wierzących - rzekł okrutny młodzieniec.

- Nie, względem każdego. Takim jest prawo Allaha. A jednak - tu twarz jego stała się posępna, a oczy zaświeciły złowrogim światłem - przyjdzie niebawem dzień, gdy godzina łaski przeminie i wówczas biada tym, którzy nie słuchali! Miecz Allaha zabłyśnie i nie skryje się w pochwie, dopóki żniwo nie zostanie zebrane. Naprzód uderzy na bałwochwalców w dniu, w którym zostanie rozgromiony mój własny lud i krewni moi, niewierni Koraiszowie i w którym trzysta sześćdziesiąt bałwanów Kaaby znajdzie się na śmietniskach miasta. Potem Kaaba stanie się domem i świątynią jedyne Boga, który nie znosi na niebie i ziemi żadnego współzawodnika.

Towarzysze jego zebrali się dokoła, z oszczepami w ręku, wpatrując się płonącymi oczami w jego twarz, a ich ciemne oblicza były pełne takiego fanatycznego zapału, że czytać w nich mogłem, z jaką miłością i czcią odnosili się do swojego wodza.

- Będziemy cierpliwi - mówił - lecz nadejdzie dzień, może za rok, może za dwa, kiedy archanioł Gabriel zwiastuje mi, że minął czas słów i że nadeszła godzina miecza. Mało nas i jesteśmy słabi, ale jeśli taką jest jego wola, któż zdoła się nam oprzeć? Czy jesteś Żydem, cudzoziemcze? - zapytał.

Odparłem, że nie.

- Tym lepiej dla ciebie, - rzekł z tym samym gniewem na ogorzalej twarzy. - Najpierw padną bałwochwalczy, a potem Żydzi, gdyż nie uznali własnych proroków, których przyście sami zapowiedzieli. Wreszcie przyjdzie kolej na chrześcijan, którzy wierzą w prawdziwego proroka, większego zaiste, niż Mojżesz lub Abraham, lecz którzy zgrzeszyli, biorąc stworzenie za Stwórcę. Dla wszystkich po kolei - bałwochwalców, żydów i chrześcijan - nadejdzie dzień obrachunku.

Stojący za nim obszarpańcy wstrząsali dzidami słuchając jego słów. Nie było wątpliwości, że biorą je na serio, kiedy spojrzałem jednak na ich podarte suknie i prosty oręż, nie mogłem powstrzymać się od śmiechu na myśl o ich ambitnych pogroźkach i przypuszczalnym smutnym losie w dniu bitwy z uzbrojonymi w berdysze cesarskimi gwardzistami lub ciężką jazdą armeńską. Nie potrzebuję jednak wspominać, że nie zdradziłem się z moimi myślami, nie miałem bowiem żadnej ochoty być pierwszym

męczennikiem przy tym nowym ataku na naszą świętą wiarę.

Był już wieczór, postanowiono zatem, że obie karawany będą obozować razem - plan tym bardziej dla nas pożądany, że nie byliśmy pewni, czy rozbójnicy nie zjawią się znowu. Zaprosiłem dowódcę Arabów na wieczerzę; przytył rzeczywiście po długich modłach ze swoimi towarzyszami, lecz moja gościnność okazała się daremną, gdyż nie chciał skosztować znakomitego wina, które dla niego rozpakowałem, ani żadnych przysmaków, poprzestając na czerstwym chlebie, suszonych daktylach i wodzie. Po tym posiłku siedliśmy razem przy dymiącym ognisku; w górze rozciągało się wspaniałe sklepienie niebieskie, na którego ciemnym, pysznym niebie iskrzyły się jasno błyszczące gwiazdy, jakie widzieć można tylko w suchym powietrzu pustyni. Przed nami leżał obóz, ale żaden odgłos nie dochodził do naszych uszu, prócz niewyraźnego szmeru głosów towarzyszy i od czasu do czasu przeraźliwego krzyku szakala, wśród otaczających nas wzgórz piaszczystych. Siedziałem twarzą w twarz z tym dziwnym człowiekiem, na którego oblicze padał blask ognia, odbijający się w jego namiętnych oczach. Była to dziwna noc, noc nie zapomniana. Spotkałem się w ciągu mych podróży z wieloma mądrymi i sławnymi ludźmi, ale nikt nie wywarł na mnie większego wrażenia.

A jednak słowa były dla mnie po większej części niezrozumiałe, chociaż jak wiecie, mówię po arabsku, niby Arab. Czasami było to jakby paplanie dziecka, czasami bredzenie fanatyka, czasem zaś przypominały mi one cudowne rojenia proroka i myśliciela. Były chwile, kiedy jego opowieść o demonach, cudach, snach i przecuciach podobne były do baśni, opowydanych wieczorem dzieciom przez stare kobiety. To znów, kiedy mówił z rozjaśnioną twarzą o swym obcowaniu z aniołami, o zamiarach Stwórcy i o końcu świata, zdawało mi się, że siedziałem nie obok przeciętnego śmiertelnika, ale bezpośredniego wysłannika Najwyższego.

Rozumiałem dobrze, dlaczego darzył mnie taką ufnością. Uważał mnie za swego posła do Konstantynopola i do cesarstwa rzymskiego. Podobnie jak święty Paweł wprowadził do Europy chrześcijaństwo, tak i ja miałem wprowadzić jego naukę do mego ojczyzno miasta. Niestety! nie wypowiadam zdania co do jego nauki, ale obawiam się, że w każdym razie nie jestem stworzony na świętego. Jednak przez całą długą noc starał się usilnie nawrócić mnie na swoją wiarę. Miał ze sobą świętą księgę, napisaną jak mówił, pod dyktandem anioła na tabliczkach kościanych, którą woził w worku na paszę wielbłądów. Czytał mi z niej kilka rozdziałów, ale choć przepisy były bardzo dobre, język wydawał mi się dziwnym i dzikim. Były chwile, kiedy zaledwie mogłem zapanować nad sobą, słuchając jego słów. Przedstawiał mi swe plany na przyszłość i rzeczywiście kiedy mówił zapominało się, że był tylko

przywódcą wędrownej arabskiej karawany, a nie jednym z wielkich tego świata.

- Gdy Bóg użyczy mi siły dostatecznej, co stanie się za kilka lat - mówił. - Złączę całą Arabię pod moim sztandarem. Potem rozpowszechnię moją naukę w Syrii i Egipcie. Gdy się to stanie, zwrócę się do Persji, każę jej wybierać między prawdziwą wiarą i mieczem. Po zdobyciu Persji łatwo mi przyjdzie opanować Małą Azję i utworować sobie w ten sposób drogę do Konstantynopola.

Zacisnąłem zęby, aby nie wybuchnąć śmiechem.

- A kiedyż zjawią się nad Bosforem twoje zwycięskie wojska? - zapytałem.

- Wszystko jest w ręku Boga, którego sługami jesteśmy - rzekł. - Może ja sam umrę, nim się to spełni, lecz nim nasze dzieci zakończą życie, spełni się wszystko, o czym ci mówiłem. Popatrz na tę gwiazdę! - dodał, wskazując na wspaniałą, jasną planetę świecącą nad naszymi głowami. - To symbol Chrystusa. Spójrz, jak pogodnie i spokojnie świeci. Taką jest też Jego nauka i wspomnienie Jego życia. A teraz - dodał, zwracając wyciągniętą dłoń ku ciemnej, czerwonej gwiazdzie na widnokręgu - tej samej, na którą teraz spoglądamy - popatrz, oto moja gwiazda, zwiastująca gniew, wojnę i karę na grzeszników. A jednak, zaprawdę, obie są gwiazdami i obie słuchają rozkazów Allaha.

Tę właśnie przypomniał mi dzisiejszej nocy widok owej gwiazdy. Czerwona i zła czai się jeszcze na południu, jak w chwili, kiedy widziałem ją wówczas wieczór na pustyni. Gdzieś hen, człowiek ów działa i walczy. Może zginął z ręki współfanatyka lub padł w utarczce plemiennej. W takim razie skończyło się wszystko. Jeżeli jednak żyje, oczy jego i całe zachowanie się mówiło, że Mahomet, syn Abdallaha - gdyż tak brzmiało jego nazwisko - da w jakiś niezwykły sposób świadectwo wierze, którą głosi.

TAJEMNICA OTCHŁANI

Przytoczone niżej opowiadanie znaleziono w papierach dr Jamesa Hardcastle'a, zmarłego na gruźlicę 4-go lutego 1906 r. pod nr 36-tym na Upper Cowentry Flats, w South Kensington. Jego najbliżsi znajomi, jakkolwiek wstrzymują się od wydania sądu w tej niezwyklej sprawie, zgadzają się jednogłośnie na to, że zmarły był człowiekiem trzeźwego i nieprzeciętnego umysłu, niepowodującym się wyobraźnią i zupełnie niezdolnym do tworzenia bajek. Karty te mieściły się w kopercie zatytułowanej: „Krótki opis wypadków, jakie zdarzyły się w pobliżu folwarku panien Allerton w północno-zachodnim Derbyshire, na wiosnę ubiegłego roku”. Koperta była zapieczętowana, a na jej odwrocie, nakreślone ołówkiem, widniały słowa:

„Drogi Seatonie!

Może zainteresuje cię, a może zmartwi wiadomość, że nieufność z jaką odniosłeś się do mego opowiadania, powstrzymała mnie raz na zawsze od jakichkolwiek dalszych zwierzeń w tym względzie. Sprawozdanie to zostanie ogłoszone po mojej śmierci i może obcy ludzie obdarzą mnie większym zaufaniem, niż ty, mój przyjacielu”.

Nie dało się wyjaśnić, mimo wszelkich starań, kim był właściwie ów Seaton. Zaznaczam tylko, że obecność zmarłego na folwarku Allerton i niepokojące wypadki, jakie tam w ogóle zaszły - nie mówiąc już o niezwyklej ich wy tłumaczeniu - miały rzeczywiście miejsce. Po tej krótkiej przedmowie załączam jego opis taki, jakim go znalazłem, bez najmniejszych zmian. Ma formę dziennika, w którym kilka ustępów uzupełniono, a kilka wykreślono.

* * *

17 kwietnia: czuję się już zdrowszym w tej czarodziejskiej, górskiej okolicy. Folwark p. Allerton leży 1420 stóp nad poziomem morza, nic więc dziwnego, że klimat działa cudownie na nerwy. Poza zwyczajnym kaszlem rano, nie mam żadnych przykrych objawów, a przy pomocy świeżego mleka i dobrej cielęciny spodziewam się przybrać na wadze. Przypuszczam, że Saunderson będzie zadowolony.

Obie miss Allerton są rozbijającą naiwne i miłe; dwie pocziwe, zapracowane, stare panny, gotowe otworzyć serca, przeznaczone dla męża i dzieci, obcemu inwalidzie. To pewne, że stara panna jest jednostką bardzo użyteczną, jedną z zapasowych sił społeczności. Mówi się o zbyt czej kobiecie, ale cóż by robił biedny, zbyt czej mężczyzna, bez jej

serdecznej pomocy? Nawiasem mówiąc, dzięki swej prostocie zdradziły mi od razu powód, dla którego Saunderson polecił mi ich folwark. Otóż profesor sam pochodził ze wsi i jak sądzę, w dzieciństwie swoim pasał krowy na tych polach.

Miejscowość to odosobniona, spaceruje niezwykle malownicze. Folwark składa się z pokrytej murawą połaci kraju, która leży na dnie krętego wąwozu. Po obu jego stronach wznoszą się fantastyczne skały wapienne, utworzone z tak miękkiego materiału, że można go łamać rękami. Cała okolica jest pokryta chodnikami. Gdyby w nią uderzyć jakimś olbrzymim młotem, zahuczałaby jak bęben lub zapadła się, odkrywając wejście do wielkiego podziemnego morza. Morze takie musi istnieć, gdyż rzeki ze wszystkich stron nikną we wnętrzu gór, nie pojawiając się już więcej na powierzchni. Między skałami widać szczeliny, przez które można się dostać do wielkich jaskiń, ciągnących się daleko w głąb ziemi. Rozporządzam małą lampką od roweru i z prawdziwą przyjemnością lubię nią oświetlać te tajemnicze pieczary i obserwować grę światła i cieni na stalaktytach, zwieszających się ze stropu. Zgaszę lampę i znajduję się w zupełnej ciemności. Zaświecę ją, a ujrzę scenę z tysiąca i jednej nocy.

Jeden z tych tajemniczych, podziemnych otworów zaciekał mnie szczególnie, gdyż jest dziełem nie przyrody, lecz człowieka. Nie słyszałem nigdy dotąd o Blue John. Nazwą tą określa się dziwny minerał o pięknym, purpurowym odcieniu, który spotyka się na świecie zaledwie w jednym, czy dwóch miejscach. Jest tak rzadki, że waza z Blue John przedstawiałaby wartość niezwykłą. Rzymianie kierując się wrodzonym sobie instynktem odkryli, że znajduje się on w tej dolinie i wykopali poziomy chodnik, wiodący głęboko w zbocze górskie. Otwór tej kopalni nazwany został czeluścią Blue John; stanowi go wykuta w skale arkada, osłonięta krzakami. Chodnik wykuty przez rzymskich górników jest bardzo wygodny i przecina kilka wymulonych przez wodę pieczar tak, że przy zwiedzaniu czeluści Blue John wskazane jest oznaczenie przebytej drogi i odpowiednia ilość świec, w przeciwnym bowiem razie podróżny może już nigdy nie oglądać dziennego światła. Nie zapuściłem się dotąd w głąb tunelu, ale dziś właśnie stałem u wejścia do niego i spoglądając w czarną czeluść, przyrzekłem sobie za powrotem do zdrowia poświęcić jakiś dzień na zbadanie tych tajemniczych zakątków i przekonanie się, jak daleko wniknęli Rzymianie w głąb derbyshirskich wzgórz.

Dziwna rzecz, jak przesądni są tutejsi mieszkańcy! Miałem lepsze wyobrażenie o młodym Arwitage, jest to bowiem człowiek z pewnym wykształceniem i charakterem, a poza tym, jak na swoje stanowisko, młodzieniec bardzo stateczny. Stałem u wejścia do czeluści Blue John, kiedy ujrzałem go idącego do mnie przez pola.

- I cóż doktorze - rzekł, - pan się nie boi?

- Nie boi! - odparłem. - Czego?

- Potwora, rzekł wskazując dłonią ku czarnej czeluści, - potwora, który żyje w jaskini Blue John?

Jakżesz niesłychanie łatwo stworzyć legendę w zapadłej wsi! Spytałem o wyjaśnienie jego zagadkowych słów. Zdaje mi się, że od pewnego czasu ginęły bez śladu owce należące do Arwitage'a. Nie wydało się mu rzeczą możliwą, aby zabłąkały się same i zginęły w górach. W jednym wypadku znaleziono kałużę krwi i kilka garści wełny. I to, moim zdaniem, można sobie było wytłumaczyć w zupełnie naturalny sposób. Dalej noce, w których owce ginęły, były bez wyjątku niezwykle ciemne, chmurne i bezksiężycowe. Zwróciłem na to uwagę, że takie noce wybiera zwyczajnie złodziej owiec na robotę. W jednym wypadku wywalono dziurę w murze i odrzucono kamienie na daleką odległość. Według mojego zdania było to też dziełem człowieka. W końcu podtrzymał Arwitage wszystkie swoje uwagi twierdzeniem, że sam słyszał potwora - tak jest, że słyszał go każdy, kto dłużej zabawił w czeluści. Był to daleki ale niezwykle potężny ryk. Uśmiechnąłem się na tę uwagę, znając z doświadczenia dziwne odgłosy, jakie powstają w podziemnych chodnikach jurajskiej formacji, przez które przepływa woda. Moja niewiara uraziła Arwitage'a; odwrócił się i pożegnał się ze mną zimno.

A teraz rzecz najdziwniejsza w całej tej sprawie. Stałem jeszcze u wejścia do jaskini zastanawiając się nad niezwykleymi wynurzeniami Arwitage'a i ich racjonalnym wyjaśnieniem, kiedy nagle z głębi tunelu dobiegł do moich uszu szczególny odgłos. Jakżeż go opisać? Po pierwsze dochodził z wielkiej odległości gdzieś z głębi góry. Po drugie, mimo iż był daleki słyszałem go wyraźnie. W końcu, nie był to grzmot, ani plusk, jaki towarzyszy spadającej wodzie lub staczającemu się odłamowi skalnemu, ale było to potężne wycie (głośne i przerywane, przypominające pod tym względem rzenie konia). Było to rzeczywiście niezwykle zjawisko, które w danej chwili, muszę przyznać, rzucało zupełnie nowe światło na opowiadanie Arwitage'a. Pozostałem u wejścia do czeluści Blue John jeszcze z jakie pół godziny lub więcej, ale odgłos nie powtórzył się; wróciłem zatem do dworu, zbity z tropu wspomnianą przygodą. Postanowiłem zbadać pieczarę po powrocie do zdrowia. Rzecz prosta, wyjaśnienie Arwitage'a nie nadaje się do dyskusji, a jednak odgłos ten był bardzo dziwny. Słyszę go jeszcze, gdy piszę te słowa.

20 kwietnia - W ciągu ostatnich trzech dni zrobiłem kilka wycieczek do Blue John i nawet posunąłem się w głąb tunelu, ale moja lampka rowerowa jest tak mała i świeci tak słabo, że nie śmiem posuwać się zbyt daleko. Zabiorę się do tego systematycznie. Przyjmę, że

nie słyszałem w ogóle żadnego hałasu, a może uwierzę, że byłem ofiarą halucynacji której powodem stała się rozmowa z Arwitage'm. Rzecz prosta, całe jego opowiadanie nie ma sensu, a jednak muszę przyznać, że krzaki u wejścia do jaskini wyglądają teraz tak, jakby przez nie przeszło jakieś wielkie zwierzę. Zaczynam się głęboko interesować tą sprawą. Nie mówiłem nic pannom Allerton, gdyż już i tak są bardzo przesądne, ale kupiłem kilka świec i zamierzam sam przeprowadzić dochodzenie.

Zauważyłem dziś rano, że między rozrzuconą dokoła, wśród krzaków u wejścia do pieczary, owczą wełną, znajduje się garść wełny zbroczonej krwią. Rzecz prosta, rozum mówi mi, że owca, która się zabłąkała między skały, łatwo może tu się skaleczyć, a jednak te krwawe plamy uderzyły mnie nieprzyjemnie i przez chwilę zdjął mnie strach przed starą kopalnią rzymską. Jakieś zgniłe wyziewy zdawały się wydobywać z czarnych czeluści, w które patrzyłem. Czyżby to było możliwe, że jakiś bezimienny stwór, jakaś straszliwa istota zamieszkuje te chodniki? Gdybym był zdrow, myśl podobna nie powstałaby w mej głowie, ale kiedy człowiek choruje, nerwy jego i wyobraźnia są przewrażliwione.

Przez chwilę zachwiałem się w mym postanowieniu i chciałem pozostawić nierozwiązaną zagadkę starej kopalni, o ile mamy tu rzeczywiście do czynienia z zagadką. Ale tej nocy ciekawość moja obudziła się na nowo i nerwy uspokoiły dostatecznie. Jutro, mam nadzieję, będę wiedział coś więcej o tym przedmiocie.

22 kwietnia - Pragnę opisać jak najdokładniej moją wczorajszą przygodę. Wyszedłem po południu w stronę czeluści Blue John. Przyznaję, że straciłem odwagę, spojrzawszy w głąb jej i żałowałem, że nie zabrałem ze sobą towarzysza. W końcu jednak zapaliłem świecę, precisnąłem się przez głogi i zacząłem posuwać się skalistym chodnikiem.

Schodził w dół pod kątem ostrym jakieś pięćdziesiąt, stóp i zawalony był głazami, które spadły ze stropu. Potem przybierał kierunek prosty. Nie jestem geologiem, ale ściany tego chodnika utworzone były z twardszego materiału, niż wapień, gdyż tu i ówdzie mogłem dostrzec ślady uderzeń narzędzi dawnych górników, które wyglądały tak świeżo, jakby je pozostawiono dopiero wczoraj. Posuwałem się tym tajemniczym, starożytnym korytarzem, przy słabym świetle, które zaledwie rozpraszało mrok dokoła, wskutek czego ciemności poza jego obrębem wydawały się jeszcze głębsze i groźniejsze. Wreszcie przybyłem do miejsca, gdzie rzymski chodnik przechodził w pieczarę, wydrążoną przez wodę - dużą jaskinię, z której stropu zwieszały się długie igły wapiennych stalaktytów. Od tej wielkiej komnaty odchodził, jak widziałem przy słabym świetle, szereg przejść, wyłobionych przez podziemne strumienie i ciągnących się w głąb góry. Stałem niezdecydowany, nie wiedząc, czy mam zawrócić, czy też zapuścić się w ten niebezpieczny labirynt, kiedy oczy moje padły na coś, co

zaciekało mnie w wysokim stopniu, a co ujrzałem u mych stóp.

Dno pieczary było w przeważnej części zavalone odłamami skał, a raczej pokryte twardymi naciekami wapnia, ale w tym właśnie miejscu musiała znajdować się w powale szczelina, którą przedostawała się na dno woda i muł. W tym muł w samym jego środku, znajdował się duży znak - wgniecenie o granicach nie dających się określić, głębokie, szerokie, nieregularne, jakby w tym miejscu spoczywał jakiś wielki ciężar. W pobliżu nie było głazu, żadnego przedmiotu, który by mógł odcisnąć się na piasku. Wgniecenie było zbyt duże, aby je odnieść do jakiegoś zwierzęcia, poza tym było tylko jedno, a przestrzeń pokryta mułem była zbyt wielka, aby ją można było przebyć jednym krokiem. Kiedy przestałem oglądać ten szczególny znak i spojrzałem w otaczające mnie ciemności, przyznać muszę, że przez chwilę serce zamarło mi w piersiach i mimo wysiłku świeca zaczęła drzeć w mojej wyciągniętej dłoni.

Opanowałem się jednak wkrótce; szaleństwem było odnosić ten wielki, bezkształtny znak do tropu jakiegokolwiek ze znanych zwierząt. Nie mógł to być nawet odcisk nogi słonia. Postanowiłem zatem nie kierować się bezsensownymi i bezpodstawnymi obawami w przeprowadzeniu zamierzonego przedsięwzięcia. Zanim zacząłem posuwać się dalej zanotowałem sobie jednak w pamięci szczególnego kształtu blok skalny tkwiący w ścianie który miał oznaczyć wejście do rzymskiego tunelu. Ostrożność ta była konieczna, gdy? wielką pieczarę, o ile mogłem dostrzec, przecinały liczne chodniki. Zabezpieczywszy się w ten sposób i wypróbowałem moje świece i zapalki, zacząłem się posuwać po skalistym i nierównym dnie podziemia.

I tak przyszedłem do miejsca, gdzie spotkała mnie nieprzewidziana i straszna katastrofa. Drogę moją przecinał potok, na jakieś dwadzieścia stóp szeroki! Posuwałem się wzdłuż jego brzegu, aby znaleźć miejsce dogodne do przejścia. Wreszcie ujrzałem pojedynczy, płaski głaz, leżący prawie w środku potoku, który mogłem osiągnąć jedynie skokiem. Niestety jednak chciało, że kamień nie był oparty na swej podstawie, ale podmyty prądem strumienia, tak że przechylił się pod moim ciężarem i wtrącił mnie do zimnej jak lód wody. Światło zgasło i znalazłem się w zupełnej, całkowitej ciemności.

Zerwałem się na nogi, raczej ubawiony, niż zaniepokojony tym wypadkiem. Świeca wypadła mi z rąk i zniknęła w potoku, miałem jednak jeszcze inne w kieszeni, tak że to nie odgrywało żadnej roli. Wydobyłem jedną z nich i wyciągnąłem pudełko z zapalkami aby ją zaświecić. I teraz dopiero uprzytomniłem sobie tragiczne moje położenie. Pudełko zamokło podczas mego upadku do rzeki. Zapalenie zapalek było niepodobieństwem.

Czułem, że serce moje ściska jakaś lodowata dłoń. Ciemność była zupełna i budziła wprost grozę. Stałem bez ruchu, usiłując z całym wysiłkiem zapanować nad moimi nerwami. Starłem się odtworzyć w pamięci mapę dna podziemia taką, jaką widziałem w ostatniej chwili. Niestety! Znaki orientacyjne, które zapamiętałem sobie poprzednio, znajdowały się wysoko, na ścianach pieczary; nie można ich było wymacać rękami. Jednakże przypomniałem sobie ogólny kształt jaskini i miałem nadzieję, że posuwając się wzdłuż ścian, natrafię w końcu na wejście do rzymskiego tunelu, idąc krok za krokiem i ustawicznie chwytając za skały zdecydowałem się na tę rozpaczliwą próbę.

Ale niebawem przekonałem się o bezowocności moich wysiłków. W tych gęstych i nieprzeniknionych ciemnościach straciłem natychmiast orientację. Nie zrobiłem nawet dwunastu kroków, a już nie wiedziałem gdzie się znajduję. Szemranie strumyka, które słyszałem dokładnie, wskazywało mi, gdzie leży ale z chwilą oddalenia się od jego brzegów, musiałem zacząć błądzić. Pomysł znalezienia drogi w zupełnych ciemnościach przez ten wapienny labirynt był po prostu nie do urzeczywistnienia.

Usiadłem na kamieniu i zastanowiłem się nad moją nieszczęsną sytuacją. Nie wspominałem nikomu o zamiarze wybrania się do kopalni Blue John i było mało prawdopodobne, aby mnie tu zaczęto szukać. Mogłem liczyć tylko na własne siły. Pozostawała mi nadzieja, że zapalki wyschną. Kiedy wpadłem do rzeki, zamoczyłem się tylko do połowy. Mój lewy bok pozostał nad wodą. Wziąłem pudełko zapalek i włożyłem je pod lewą pachę. Wilgoć podziemia mogło zrównoważyć ciepło mojego ciała, ale i w tym wypadku nie należało się spodziewać, że zdobędę światło przed upływem kilku godzin. Pozostało mi na razie tylko czekać.

Na szczęście zabrałem ze sobą do kieszeni kilka sucharków. Pochłonałem je teraz i popiłem kilkoma łykami wody z tego przekłętego strumienia, który był przyczyną całego mojego nieszczęścia. Potem wyszukałem sobie odpowiedni głaz i miejsce, gdziebym się mógł oprzeć plecami i wyciągnąwszy nogi postanowiłem czekać. Byłem zupełnie przemoczony i zziębnięty, ale próbowałem się pocieszać myślą, że nowoczesna medycyna w takich chorobach jak moja, przepisuje otwarcie okien i spacerowanie bez względu na pogodę. Stopniowo, ukołyszany monotonnym szemraniem potoku i zupełną ciemnością, popadłem w niezdrowy sen.

Jak długo spałem, nie mogę powiedzieć. Może godzinę, a może kilka godzin. Nagle usiadłem w moim skalnym krześle, drżąc na całym ciele z wszystkimi zmysłami napiętymi do najwyższego stopnia. Nie mogłem wątpić - do uszu mych dobiegł jakiś odgłos - odgłos

zupełnie różny od szemrania wody. Czułem, że dźwięczy wciąż w moich uszach. Czy to poszukujący mnie ludzie? Ale ci krzyczeliby zapewne, a chociaż odgłos, który mnie zbudził był bardzo niewyraźny, różnił się jednak wybitnie od głosu człowieka. Siedziałem drżący, zatrzymując głos w piersiach. Znowu! I znowu! Teraz słyszę go stale. Było to stapanie - tak, bez wątpienia było to stapanie żywej istoty. Ale co za stapanie. Miałem wrażenie, że jakiś ogromny ciężar posuwa się na gąbczastych odnóżach, wskutek czego powstawał przytłumiony, a jednak zupełnie wyraźny odgłos. Ciemności były nieprzeniknione, ale kroki słyhać było dokładnie i w regularnych odstępach, i zmierzały, to nie ulegało wątpliwości, w moim kierunku.

Skóra mi ścierpła i włosy zaczęły jeżyć się na dźwięk tych pewnych i ciężkich kroków. To było jakieś zwierzę i to, wnosząc z szybkości, z jaką się posuwało, zwierzę które widziało w ciemności. Przytuliłem się do skały, usiłując wcisnąć się w jej szczeliny. Kroki zbliżały się coraz bardziej, potem przez chwilę nie było ich słyhać i teraz do uszu moich dobiegło głośne mlaskanie i chleptanie. Zwierzę piło wodę z potoku. I znowu nastala cisza, przerwana następnie parskaniem i kichaniem, niezwykle głośnym i energicznym. Czyżby mnie zwietrzyło? Nozdrza moje wypełnił przykry, okropny odór, jakby gnijącego ciała. Potem kroki dały się słyheć znowu, teraz już z tej strony strumienia. Kamienie chrzęściły zaledwie o kilka kroków ode mnie. Zatrzymując dech w piersiach, tuliłem się do skały. Teraz kroki zaczęły się oddalać. Słyszałem plusk wody, kiedy zwierzę przeprowiało się z powrotem przez rzekę i zamierające odgłosy stapania w tym kierunku, skąd przyszło.

Przez długi czas leżałem na skale, zbyt wystraszony, aby się móc ruszyć. Myślałem o odgłosie, który dobiegł mych uszu z głębi góry, o obawach Arwitage'a, o tajemniczym odcisku na piasku i o tym końcowym, niezbitym dowodzie, świadczącym, że żył tu rzeczywiście jakiś nieznany potwór, jakieś niesamowicie straszliwe stworzenie, które czaiło się we wnętrzu góry. O jego naturze i kształtach nie mogłem sobie wyrobić zdania, wiedziałem tylko, że stapa cicho, a jest ogromne. Rozum mój, który mi mówił o niepodobieństwie takiego wypadku, walczył z moimi zmysłami, które wskazywały, że jednak była to rzeczywistość. W końcu przecież byłem skłonny przypuszczać, że przygoda moja była jakimś przykrym snem i że stan zdrowia mojego stał się powodem halucynacji. Ale przeciw temu przemawia jeszcze jedno końcowe spostrzeżenie, które rozprasza resztki wątpliwości.

Wyjąłem zapalki spod pachy i spróbowałem, czy są twarde i suche. Potem gdzieś na ustroniu potarłem jedną z nich. Zapaliła się, ku mej radości, natychmiast. Zaświeciłem stoczek i rzuciwszy za siebie, w ciemne czeluście pieczary, przerażone spojrzenie, podążyłem czym prędzej w kierunku rzymskiego korytarza.

W powrotnej drodze musiałem minąć przestrzeń pokrytą mułem, gdzie widziałem wielki odcisk. Stałem teraz, jak wryty, gdyż na piasku widniały trzy zupełnie podobne wgniecenia, olbrzymie, nieregularne w zarysach, o głębokości, która świadczyła jasno, jak wielki tu spoczywał ciężar. Wtedy ogarnął mnie strach. Zgarbiony, osłaniając płomień świecy rękami, pobiegłem zdjęty paniką ku skalnemu korytarzowi, potem w górę jego i nie zatrzymałem się, dopóki zmęczony i zdyszany nie minąłem końcowego zbocza, nie przedarłem się przez krzaki głogu i nie padłem wyczerpany na miękką murawę, pod spokojnym, gwiazdzystym niebem. O trzeciej nad ranem, powróciłem do dworu, a dzisiaj jestem cały drżący i osłabiony po mej straszliwej przygodzie. Nie wspominałem dotąd o niej nikomu. Muszę się strzec. Cóż by pomyśleli o mnie ci nieokrzesani, tutejsi głupcy, lub biedne, samotne kobiety, gdybym im opowiedział o moim wypadku? Pójdę do kogoś, kto umie zrozumieć i kto mi poradzi.

25 kwietnia - Dwa dni po tym niezwykłym wypadku w podziemiu, przeleżałem w łóżku. Używam tego przymiotnika w określonym znaczeniu, gdyż spotkała mnie druga przygoda, która wstrząsnęła mną może równie poważnie, jak poprzednia. Wspominałem, że zdecydowany byłem udać się do kogoś po radę. O kilka mil stąd wykonuje praktykę lekarską niejaki dr Mark Johnson, do którego miałem list polecający od prof. Saundersona. Pojechałem do niego, skoro już było mi lepiej i opowiedziałem mu mój dziwny przypadek. Słuchał uważnie, a potem wziął się do skrupulatnego badania, zwracając szczególną uwagę na odruchy i tęczołki oczu. Po skończeniu badania nie chciał się ze raną wdawać w dyskusję, nie czując się, jak mówił, kompetentnym w tej sprawie, ale dał mi bilet do niejakiego Mr Pictona w Castleton z poleceniem, abym się tam udał natychmiast i opowiedział mu całe zajście zupełnie dokładnie. On jest, jak mówił, jednym człowiekiem, który mi może pomóc. Wobec tego poszedłem na stację i pojechałem do miasteczka, leżącego o kilka mil. Mr Picton był zdaje się, wybitną osobistością, gdyż jego mosiężna tabliczka przybita była na drzwiach wielkiego budynku na przedmieściu. Miałem właśnie pociągnąć za dzwonek, kiedy w duszy mojej zbudziła się nagle nieufność. Zaglądnąłem do sąsiedniego sklepu i zapytałem człowieka za ladą, czy może mi powiedzieć coś o Mr Pictonie.

- Jak to? - rzekł. - Wszak to najlepszy doktor wariatów w Derbyshire. Tam stoi jego zakład.

Możecie sobie wyobrazić, że czym prędzej otrząsnąłem procn Castletonu z moich stóp i powróciłem na folwark, klnąc pedantów bez wyobraźni, którzy nie mogą pojąć, że istnieją na świecie rzeczy, nie objęte ich krecim umysłem. Ale mimo wszystko teraz, kiedy się już uspokoił, muszę przyznać, że dr Johnson odniósł się do mnie nielepiej niż ja do Arwitage'a.

27 kwietnia - Jako student cieszyłem się opinią człowieka odważnego i energicznego. Przypominam sobie na przykład, że na wieść o duchach straszących Coltridze, wybrałem się do nawiedzonego przez nie domu. Czyżby starość (ale mam dopiero 35 lat) lub choroba stały się powodem degeneracji? A jednak serce mi się ściska na myśl o straszliwej jaskini tam w górach, jestem bowiem pewny, że ma jakiegoś okropnego mieszkańca. Co mam zrobić? Zastanawiam się nad tym przez cały dzień. Jeśli będę milczał, zagadka pozostanie nierozwiązana. Jeśli rzeknę choć słowo, albo całą okolicę ogarnie panika, albo też spotkam się z zupełną nieufnością, która mnie zaprowadzi do domu dla obłąkanych. Na ogół, jestem zdania, żeby czekać i przygotować się na wyprawę, lepiej obmyślaną i lepiej przeprowadzoną, niż ostatnia. Przede wszystkim byłem w Castleton i zaopatrzyłem się w kilka przedmiotów - a więc w dużą acetylenową lampę i dobrą dwururkę myśliwską. Ostatnią pożyczyłem, ale kupiłem do niej tuzin wielkich patronów na grubą zwierzynę, które położyłyby trupem nawet nosorożca. Teraz mogę się już spotkać z moim przedpotopowym przyjacielem. Niech tylko zyskam więcej sił i energii, a zmierzmy się jeszcze ze sobą. Ale co to za zwierze? Oto pytanie, które mi nie daje spać. Tworzę szereg hipotez, które zbijają się wzajemnie. To wszystko takie zagadkowe! Krzyk, ślady stóp, kroki w pieczarze - nie mogę przejść nad tym do porządku. Myślę o dawnych legendach, w których odgrywają rolę smoki i inne potwory. Czyżby to nie były bajki? Czyżby te rzeczywiście opierały się na faktach, a mnie jednemu przypadł los stwierdzenia prawdziwości takiego faktu?

3 maja - Od kilku dni przykuwa mnie do łóżka nasza słotna wiosna angielska, a przez ten czas wypadki idą swoim trybem, jakkolwiek prawdziwego, katastrofalnego ich znaczenia nikt, poza mną nie jest w stanie ocenić. Chciałem wspomnieć, że noce w ostatnim czasie były ciemne i bezksiężycowe, takie właśnie noce, w których ginęły owce. Otóż owce zginęły znowu. Dwie należące do panien Allerton, jedna starego Pearsona z Cat Walk, jedna pani Houlton. Ogółem cztery w ciągu trzech nocy. Zginęły bez śladu, a cała okolica szepcze o złodziejach i cyganach.

Ale zdarzyło się jeszcze coś ważniejszego. Młody Arwitage zniknął również. Wyszedł we wtorek rano ze swej chaty na bagnach i od tego czasu nikt o nim nie słyszał. Nie miał żadnych krewnych, tak, że na ogół fakt przeszedł bez większego wrażenia. Według powszechnego ogółu potrzebował pieniędzy i znalazł sobie jakieś zajęcie w innej okolicy, skąd później napisze po rzeczy. Ale ja mam poważne do tego wątpliwości. Czyż nie jest prawdopodobniejszym, że ostatnie zniknięcie owiec skłoniło go do przedsięwzięcia pewnych kroków, które skończyły się dla niego tragicznie? Mógł np. zacząć się na potwora i być przez niego zawleczonym w czeluści góry. Co za los dla cywilizowanego Anglika z XX wieku! A

jednak czuję, że to rzecz możliwa, a nawet prawdopodobna. Ale w tym wypadku, czy nie jestem odpowiedzialny za jego śmierć i za to wszystko, co się jeszcze może zdarzyć? To pewne, że wobec wiadomości, jakie już posiadam, powinienem postarać się o poczynienie pewnych kroków, a w konieczności sam coś przedsięwziąć. Właściwie muszę sam działać. Dzisiaj rano poszedłem na miejscowy posterunek policyjny i opowiedziałem co mnie spotkało. Inspektor zapisał wszystko do wielkiej książki i uklonił mi się z wyszukaną powagą, ale słyszałem wybuchy śmiechu, kiedy wracałem z powrotem przez ogród. Opowiadał bez wątpienia moją przygodę swojej rodzinie.

10 czerwca - Piszę te słowa w łóżku, w 6 tygodni po ostatniej notatce w moim dzienniku. Przeżyłem fizycznie i duchowo okropny cios w związku z wydarzeniem, które nie przytrafiło się chyba żadnemu z śmiertelnych. Ale dopiąłem celu. Niebezpieczeństwo, grożące ze strony potwora, który zamieszkał czeluść Blue John, minęło raz na zawsze. Na tyle przysłużyłem się społeczeństwu ja, załamany inwalida. Pozwolę sobie opowiedzieć jak najdokładniej.

Noc piątkowa, 3-go maja, była ciemna i bezksiężycowa - noc odpowiednia na spacer dla potwora. Około godziny jedenastej wyszedłem z folwarku, niosąc latarnię i strzelbę; na stoliku w mojej sypialni pozostawiłem krótki list, w którym nakazywałem szukać mnie w razie gdybym nie powrócił, w okolicy czeluści. Kroki skierowałem do wejścia do rzymskiej kopalni i skrywszy się wśród głazów, w bezpośrednim sąsiedztwie otworu, zasłoniłem lampę, czekając cierpliwie, z bronią gotową do strzału.

Było to smutne czuwanie. W dole krętego wąwozu widziałem rozproszone, światełka domostw, a odgłos wybijającego zegara na wieży w Chapel-le-Sale, zaledwie dochodził do mych uszu. Te oznaki życia podkreślały tym bardziej moje osamotnienie i zmuszały do większych wysiłków dla opanowania strachu, który mnie pędził ustawicznie do domu, nakazując zarzucić raz na zawsze mój niebezpieczny plan. A jednak na dnie serca każdego mężczyzny mieszka дума, która mu przeszkadza zawracać z drogi do obranego celu. Дума była teraz jednym moim ratunkiem i ona tylko utrzymywała mnie na miejscu w chwili, gdy instynkt samozachowawczy kazał mi wracać do domu. Cieszy mnie teraz, że byłem na tyle silny. Mimo wszystkiego, co wycierpiałem, męskość moja wyszła bez szwanku.

Na dalekiej wieży kościelnej wybiła godzina dwunasta, potem pierwsza i druga. Była to najciemniejsza godzina nocy. Chmury opadły nisko, a na niebie nie widać było żadnej gwiazdy. Gdzieś między skałami odzywał się puszczyk, ale żaden inny głos, za wyjątkiem lekkiego głosu wietrzyka, nie dobiegał do mych uszu. A potem nagle usłyszałem! Z głębi tunelu zbliżały się te przytłumione kroki, ciche, a jednak tak ciężkie. Słyszałem również

chrzęst kamieni, gniecionych olbrzymimi stopami. Kroki zbliżały się. Były już niedaleko. Usłyszałem łomot gałęzi u wejścia do tunelu, a potem niewyraźnie w ciemnościach zamajaczył przed moimi oczami jakiś olbrzymi kształt, jakieś monstrualne zwierzę, które szybko i zupełnie bez szelestu wyłoniło się z czeluści. Strach i zdumienie odebrały mi możliwość ruchów. Jakkolwiek czekałem na nie długo teraz, kiedy się pojawiło okazałem się nieprzygotowany. Leżałem bez ruchu, wstrzymując oddech w piersi, kiedy wielka, ciemna masa przesunęła się koło mnie i zniknęła wśród nocy.

Ale teraz uzbroiłem się w odwagę w przewidywaniu jej powrotu. Od strony pograżonej we śnie wioski nie dobiegał żaden szmer wskazujący, że potwór grasuje swobodnie. Nie mogłem nawet w przybliżeniu oznaczyć, co tam robi i kiedy powróci. Ale nerwy nie powinny mi teraz odmówić posłuszeństwa, raz drugie zwierzę nie powinno przejść obok mnie bezkarnie. Przysięgałem to sobie zaciskając zęby i opierając gotową do strzału strzelbę na skale.

A jednak omal nie stało się to znowu. O zbliżaniu się zwierzęcia przez trawnik nie ostrzegł tym razem żaden szmer. Nagle, jak czarny, nieuchwytny cień, olbrzymia masa zamajaczyła przed moimi oczami, gotując się do wejścia do tunelu, i znów przyszła chwila odrętwienia, które obezwładniło mój leżący na cynglu palec. Ale otrząsnąłem się z niego rozpaczliwym wysiłkiem. W chwili, gdy usłyszałem trzask łamanych krzaków i potwór zniknął w czeluści, dałem ognia do uciekającej masy. Przy świetle wystrzału ujrzałem na mgnienie oka wielkie, kudłate zwierzę, pokryte grubą, stojącą sierścią, koloru blado-szarego, przechodzącego na podbrzuszu w biały, którego olbrzymi korpus spoczywał na krótkich nóżkach. Trwało to wszystko jedną chwilę, potem usłyszałem trzask łamanych gałęzi i zwierze wcisnęło się do swojej jamy. Momentalnie, w tryumfalnym podnieceniu, zapomniałem o strachu i odkrywając moją potężną latarnię, z bronią w ręku, zeskoczyłem ze skały i pobiegłem za potworem w dół rzymskiego chodnika.. Moja wspaniała lampa rzucała snop olśniewającego światła na przedmioty na wprost mnie leżące; nie był to już żółtawy, migotliwy płomień, który prowadził mnie w głąb tego samego chodnika dwanaście dni temu. Biegłem, a wielkie zwierzę sunęło cicho przede mną wypełniając swym cielskiem całą przestrzeń od ściany do ściany. Jego sierść przypominała futro białego niedźwiedzia i opadała w długich, gęstych masach, które poruszały się przy biegu potwora. Wyglądało jak ogromna, pokryta niestrzyżoną wełną owca, ale wielkością przewyższało największego słonia, a szerokie było prawie tak jak wysokie. Dziś przyprawia mnie o zdumienie myśl, że ośmieliłem się zapuścić w głąb ziemi za takim potworem, ale kiedy krew kipi i kiedy się widzi uciekającego przeciwnika, budzi się w nas duch pierwotnego myśliwca i rozsądek przestaje

odgrywać jakąś rolę. Z bronią w ręku, biegłem co sił starczy za tropem potwora.

Widziałem, że zwierze było rączę. Teraz miałem się przekonać na własnej skórze, że było też chytre. Przypuszczałem, że zdjęte jest śmiertelną trwogą i że pozostaje mi tylko biec za nim. Myśl, że może zwrócić się przeciw mnie, nie pozostała mi przez chwilę w mojej głowie. Wspomniałem już, że chodnik, którym biegłem kończył się w wielkiej grocie centralnej. Wpadłem do niej, lękając się stracić zwierzę z oczu. Ale ono odwróciło się i w jednej chwili stanęliśmy oko w oko.

Obraz ten, widziany w oślepiającym, białym świetle latarni, wyrył się raz na zawsze w moim mózgu. Stańło na tylnych łapach, jak niedźwiedź i wzniosło się nade mną olbrzymie, groźne - słowem potwór, o jakim marzy się tylko we śnie. Wspomniałem, że stańło na łapach jak niedźwiedź i przypominało trochę niedźwiedzia, - jeśli wyobrazimy sobie niedźwiedzia, którego cielsko było dziesięć razy większe, niż cielsko jakiegokolwiek niedźwiedzia na ziemi - swoją postacią i zachowaniem, wielkimi, zakrzywionymi łapami przednimi, zaopatrzonymi w pazury białe, jak kość słoniowa, swoim futrem i czerwonym, otwartym pyskiem, z którego wyglądały olbrzymie kły pod jednym tylko względem różniło się od niedźwiedzia i w ogóle od jakiegokolwiek zwierzęcia na ziemi... W danym momencie zdjął mnie dreszcz zgrozy, kiedy ujrzałem, że oczy, które spotkały się ze światłem mojej latarni miały wielkie, wystające, białe i ślepe gałki. Przez chwilę olbrzymie jego pazury groziły mojej głowie. W następnym momencie padło na mnie, moja latarnia potoczyła się na ziemię, a ja straciłem przytomność.

Odzyskałem zmysły w folwarku Allerton. Od czasu mojej straszliwej przygody w czeluści Blue John minęły dwa dni. Zdaje się, że przeleżałem całą noc w jaskini nieprzytomny, z powodu wstrząsu mózgu, ze złamanym lewym ramieniem i dwoma żebrami. Rano znaleziono mój list, utworzono oddział ratunkowy z dwunastu wieśniaków, odszukano mnie i przeniesiono do mej sypialni, gdzie leżałem dotąd w gorączce. Zdaje się, że nie natrafiono na żaden ślad zwierzęcia, na żadną plamę krwi, która by świadczyła, że zraziłem je, kiedy obok mnie przechodziło. Poza moim świadectwem i znakami na piasku, nic nie przemawiało za prawdziwością całej historii.

Od tego czasu upłynęło sześć tygodni i znowu mogę wyjść na słońce. Naprzeciw mnie widzę stromy stok góry, szare, wapienne urwiska, a tam w ścianie wąwozu szczelinę, gdzie znajduje się wejście do czeluści Blue John. Nie jest ono już jednak źródłem trwogi. Nigdy już przez ten przeklęty tunel nie wychyli się na świat boży jakakolwiek tajemnicza istota. Ludzie wykształceni i uczeni, dr Johnson i jemu podobni, mogą śmiać się z mojego opowiadania, ale uboższa ludność okolicy nie wątpi w jego prawdziwość. W dzień po odzyskaniu przeze mnie

przytomności, zgromadziła się ona w liczbie kilkuset wokół czeluści Blue John. Jak podaje Castleton Courier:

„Dla korespondenta naszego i dla szeregu awanturnicznych panów z Matlock, Buxton i okolicy, okazało się niepodobieństwem zejść w dół pieczary celem przeszukania jej do końca, by dać ostateczne świadectwo prawdziwości niezwykłego opowiadania dr Jamesa Hardcastle’a. Ludność miejscowa wdała się w tę sprawę i od wczesnego ranka pracowała nad zamknięciem wejścia do tunelu. Na początku chodnika grunt obniża się bardzo znacznie; stoczono szereg olbrzymich głazów, które chętne dłonie wrzucały do tunelu, aż wreszcie czeluść została zupełnie zawaloną. W ten sposób kończy się epizod, który wywołał w okolicy takie podniecenie. Zdania tubylców różnią się znacznie między sobą. Z jednej strony wskazują na osłabione zdrowie dra Hardcastle’a i możliwość uszkodzeń tkanki mózgowej w trakcie rozwijającego się procesu gruźliczego, co mogło dać powód do dziwacznych halucynacji. Jakaś idee fixe, według tych panów, kazała doktorowi wejść do tunelu, a upadek ze skały byłby dostatecznym powodem jego obrażeń cielesnych. Z drugiej strony, legenda o dziwnej istocie, żyjącej w czeluści, istniała już od szeregu miesięcy, a wieśniacy zapatrują się na opowiadanie dra Hardcastle’a i odniesione przez niego obrażenia jako na fakt w ścisłym z nią pozostającym związku. Tak się sprawa ma i taką pozostanie, gdyż ostateczne jej wyjaśnienie zdaje się teraz niemożliwym. Jest ponad siły człowieka podać jakiegokolwiek naukowe wytłumaczenie przytoczonych faktów”.

Zanim kurier napisał te słowa, powinien był posłać swego przedstawiciela do mnie. Przemyslałem rzecz całą, jak nikt inny i mógłbym usunąć z artykułu fantastyczne ustępy, umożliwiając przyjęcie go z nawet naukowego punktu widzenia. Pozwolę sobie przytoczyć odpowiednie, moim zdaniem, wyjaśnienie całego tego szeregu faktów. Moja teoria może się wydać nieprawdopodobną, ale ostatecznie nikt nie może zaprzeczyć, że ma pewne podstawy.

Przekonaniem moim, które - jak świadczy mój dziennik - zbudziło się we mnie jeszcze przed wypadkiem, jest, że w okolicach Anglii, znajduje się wielkie, podziemne morze lub jezioro, które zasilają liczne potoki, przepływające przez wapienne szczeliny. Tam, gdzie mamy do czynienia z wielkim zbiornikiem wód, musi istnieć i parowanie, tworzenie się mgły, deszczu i możliwość wegetacji. Z kolei nasuwa się myśl, że istnieć tu może życie zwierzęce, wywodzące się, jak i życie roślinne, od tych gatunków i typów, które dostały się tam we wczesnym okresie historii ziemskiej, kiedy komunikacja ze światem zewnętrznym była łatwiejsza. W miejscu tym rozwinęła się potem specjalna fauna i flora, obejmująca takie

potwory z jakim się spotkałem, a którym mógł być dawny niedźwiedź jaskiniowy, odpowiednio wyolbrzymiony i zmodyfikowany przez swoje nowe otoczenie. Przez niezliczone stulecia, stworzenia w świecie zewnętrznym i wewnętrznym żyły obok siebie oddzielnie, oddalając się od siebie coraz bardziej. Potem w następstwie pęknięć w głębi góry, otwarta została droga, którą jedno ze zwierząt mogło wydostać się i przez rzymski tunel wyjść na świat zewnętrzny. Jak wszystkie stworzenia, żyjące pod ziemią, utraciło wzrok, ale przyroda musiała bez wątpienia wynagrodzić mu to w inny sposób. Z pewnością umiało się poruszać we wszystkich kierunkach i polować na owce na stoku górskim. Odnośnie do wybierania przez nie ciemnych nocy, teoria moja przyjmuje, że światło musiało być bolesne dla tych wielkich, białych gałek ocznych, które skazane były jedynie na ciemności zupełne podziemnego świata. Być może nawet, że właśnie światło latarni mojej ocaliło mi życie w tej strasznej chwili, gdy stanęliśmy naprzeciw siebie. Tak pojmuję ową zagadkę. Przechodzę nad tymi faktami do porządku dziennego. Jeżeli możecie inaczej je wytłumaczyć, proszę! A jeśli nie wierzycie w nic, równie dobrze. Ani ufność ani powątpiewanie wasze nie zdoła ich zmienić i nie zdoła dotknąć mnie, którego życiowe zadanie dobiegło już właściwie kresu.

Tak kończy się niezwykła opowieść dra Jamesa Hardcastle'a.

DE PROFUNDIS

Jak długo oceany są wiązadłami, które łączą potężne, szeroko rozpostarte Państwo Brytyjskie, tak długo dusze nasze będą miały pewną skłonność do romantyzmu. Gdyż wody wywierają wpływ na duszę, jak księżyc na wodę, a kiedy główne, państwowe szlaki biegną drogami pełnymi dziwnych dźwięków i widoków, na których zawsze, w każdej wyprawie, czyha niebezpieczeństwo, tępy to zaiste musiałby być umysł, który nie wykazał choćby najmniejszych śladów takiej podróży. Dziś Brytania sięga daleko poza własne dzierzawy, gdyż w trzymilowej odległości od każdego morskiego wybrzeża znajduje się granica, granica wywalczona nie tyle sztuką wojenną, ile młotem, kilofem i warsztatem tkackim. Historia świadczy bowiem niezbicie, że żaden król i żadna armia nie mogą zagrozić drogi człowiekowi, który, mając trzy pensy w skarbonce i wiedząc dobrze, w jaki sposób zrobić z nich jeszcze trzy, wyteży wszystkie siły ku temu jednemu celowi. A w miarę, jak rozszerzały się te dzierzawy, rozszerzał się widnokrąg każdego Brytyjczyka coraz i coraz to bardziej i dzisiaj wszyscy mogą widzieć jasno, że zwyczaje wyspy są kontynentalne równie, jak zwyczaje kontynentów wyspiarskie.

Ale za to trzeba zapłacić cenę bardzo wysoką. Równie, jak dziki zwierz, w czasach zamierchłych, musiał corocznie w darze otrzymać młode życie ludzkie, tak i nasze imperium zbiera z dnia na dzień kwiat naszej młodzieży. Maszyna to wielka, jak świat nie spożyta, a jedynym jej paliwem są życia Brytyjczyków. Toteż w mroku starożytnych katedr, ilekroć czytamy spiżowe tablice na ścianach, spotykamy dziwne nazwiska, nazwiska, o których nie słyszeli nigdy stawiający te mury, gdyż młódź nasza ginie w Peshawurze, Umbellah, Korti i w forcie Pearsona, zostawiając po sobie tylko przykład i spiżowy nagrobek. Gdyby jednak stawiano obeliska ludziom w miejscu, gdzie polegli, wytyczanie granicy okazałoby się zbyteczne, gdyż kordon brytyjskich grobów wskazywałby po wieczne czasy, jak daleko sięga linia anglo-celtyckiego przyływu.

I ten szczegół równie jak wody, łączące nas ze światem nadaje nam nieuchwytnie piętno romantyzmu. Jeśli tylu ludzi ma swych ukochanych za morzami, maszerujących wśród gradu kul górali lub brodzących przez malaryczne bagniska, gdzie śmierć jest niespodzianą, a przestrzenie wielkie, nic dziwnego, że dusza szuka duszy, że powstają dziwne opowieści, o snach, przecuciach i widzeniach, w których matka widzi ginącego syna i nim nadejdzie wiadomość, właściwy zwiastun tej wieści wylewa za nim pierwsze łzy żalu. Uczni od dawna zajmowali się tą sprawą i nadali jej nawet odpowiednią nazwę, lecz cóż możemy o niej więcej wiedzieć ponad to, że biedna, znękana dusza może w chwili niebezpieczeństwa, w nagłej

potrzebie, przesłać przez całą ziemię z odległości dziesiątków tysięcy mil, obraz swojej niedoli umysłowi, który jest jej najbliższy. Daleki jestem od twierdzenia, że nie tkwi w nas taka siła, gdyż z wszystkich rzeczy, które mózg opanuje, ona będzie ostatnią. A jednak wskazaną jest ostrożność w tych sprawach, gdyż razu pewnego stałem się świadkiem wydarzenia, leżącego w granicach praw natury, a które zdawało się być daleko poza ich obrębem.

John Vansitart, był młodszym wspólnikiem firmy Hudson i Vansitart, która sprowadzała kawę z wyspy Cejlon, - w trzech czwartych Holendrem z pochodzenia, lecz z przekonania w całości Anglikiem. Od szeregu lat byłem jego agentem w Londynie, a kiedy w 82 r. przyjechał do Anglii na trzymiesięczny urlop, zwrócił się do mnie z prośbą o listy polecające, któreby mu umożliwiły poznanie z grubsza życia w mieście i na prowincji. Uzbrojony w siedem listów, opuścił moje biuro i przez szereg tygodni ulotne wiadomości z różnych stron kraju pozwalały mi wnioskować, że przyjaciele moi przyjęli go zyczliwie. Potem nadeszła wieść o jego zaręczynach z Emilią Larson, z młodszej linii Larsonów z Herefordu i zaraz potem zawiadomienie o ostatecznym terminie ślubu, gdyż zaloty wędrowca muszą być z konieczności krótkie, a zbliżał się już dzień jego powrotnej podróży. Mieli wybrać się razem do Colombo na jednym z własnych, tysiactonowych żaglowcach firmy i tak upłynąć im miał książęcy, miodowy miesiąc, łączący przyjemne z pożytecznym.

Były to dni wspaniałego rozkwitu plantacji kawy na Cejlonie, zanim spustoszenie dokonane przez grzybek w ciągu sezonu, nie pchnęło całej społeczności, przez lata rozpaczliwej walki, do jednego z największych zwycięstw handlowych, jakie kiedykolwiek osiągnęła przedsiębiorczość i wytwórczość ludzka. Rzadko, kiedy człowiek zdobywa się na wytworzenie wielkiego przemysłu na gruzach innego, który upadł, przemysłu tak bogatego, że w ciągu kilku lat pokrywa wszelkie straty, toteż pola herbaciane na Cejlonie są równie prawdziwym pomnikiem zwycięstwa, jak lew spod Waterloo. Lecz w 82 roku nie było jeszcze najmniejszej chmurki na horyzoncie, a nadzieje plantatorów były tak wielkie i jasne jak stoki wzgórz, na których rosły ich plony. Vansitart przybył do Londynu z swoją młodą, piękną małżonką. Zostałem jej przedstawiony, byłem u nich na obiedzie i umówiliśmy się ostatecznie, że będę im towarzyszył w podróży na „Gwieździe Wschodniej”, która miała wyruszyć na pełne morze w drugi poniedziałek, gdyż interesy powoływały i mnie na Cejlon.

W niedzielę wieczór widziałem się z nim znowu. Zawitał do mego mieszkania około dziewiątej w nocy. Robił wrażenie człowieka przygnębionego, w złym humorze. Ręka jego, którą uścisnąłem, była rozpalona i sucha.

- Bądź tak dobry, Atkinsonie - rzekł - dać mi trochę lemoniady. Mam straszne

pragnienie, a im więcej piję, tym więcej zdaję się potrzebować.

Zadzwoń i wydałem rozkaz, aby przyniesiono szklanki i karafkę.

- Jesteś pan zgrzany - rzekłem - i nie wyglądasz świetnie.

- Ależ gdzie tam, straciłem rumieńce. Nabawiłem się reumatyzmu w krzyżach i nie mam zupełnie apetytu. Ten przeklęty Londyn nie służy mi. Nie jestem przyzwyczajony oddychać powietrzem, które zostało zużyte przez cztery miliony płuc czatujących na nie na każdym kroku. - Przycisnął dłonie do twarzy, jakby mu rzeczywiście brakowało tchu - Morskie powietrze zrobi panu doskonale.

- I ja jestem o tym przekonany. Tego mi właśnie trzeba. Nie chcę innego doktora. Jeśli jutro nie wyjadę na morze, rozchoruję się z pewnością. Nie ma co do tego dwóch zdań. - Wypił szklankę lemoniady i przycisnął łokcie do krzyża.

- To mi sprawia ulgę. - rzekł patrząc na mnie wzrokiem zamglonym. - A teraz proszę ciebie o pewną przysługę, Atkinsonie, gdyż jestem w głupim położeniu.

- Cóż takiego?

- Posłuchaj. Matka mojej żony zachorowała i telegrafowała po nią. Nie mogłem pojechać - wiesz najlepiej jak byłem zajęty - wybrała się zatem sama. Otrzymałem teraz drugą depezę, z zawiadomieniem, że żona nie może jutro powrócić, lecz że dogoni okręt w Falamouth, w środę. Zatrzymamy się tam, ma pan wiedzieć i chociaż uważam to za mało prawdopodobne, Atkinsonie... żądać od człowieka, aby uwierzył w tajemnice i był potępiony, jeśli tego uczynić nie zdoła... Potępiony, ma pan wiedzieć, ni mniej ni więcej... - Przechylił się do przodu i zaczął wciągać do płuc powietrze jak człowiek, który ma lada chwila wybuchnąć płaczem.

Wówczas po raz pierwszy przyszło mi na myśl, że wiele słyszałem o hulaszczym życiu na wyspie i że te słowa bez związku, te rozpalone ręce były następstwem upicia się. Wypieki na twarzy, szkliste oczy odpowiadałyby człowiekowi pijanemu. Przykra to rzecz widzieć tak solidnego, młodego mężczyznę w szponach najbardziej zwierzęcego ze wszystkich nałogów.

- Musi pan położyć się do łóżka - rzekłem tonem nieco surowym.

Otworzył oczy, jak człowiek usiłujący się obudzić i spojrzał na mnie ze zdziwioną miną.

- Wkrótce to zrobię - rzekł całkiem rozsądnie. - Przed chwilą zakręciło mi się w głowie, ale teraz jestem znowu sobą. O czym żeśmy mówili? Oh, rzecz prosta, o mojej żonie. Wsiada zatem na statek w Falamouth. Mam zamiar pojechać tam morzem. Jestem przekonany, że od tego zależy moje zdrowie. Trzeba mi tylko trochę świeżego, czystego

powietrza, aby przyjść do siebie. Proszę pana, jako serdecznego przyjaciela, aby zechciał się udać koleją do Falamouth, i tam, w razie mojego spóźnienia się, zaopiekował się moją żoną. Proszę zajeżdżać do Hotelu Royal, a ja wyślę do niej depeszę z zawiadomieniem, że pan tam przybędzie. Siostra odwiezie ją i w ten sposób wszystko ułoży się znakomicie.

- Uczynię to z miłą chęcią - odrzekłem. - Po prawdzie, wolę pojechać koleją, gdyż morza będziemy mieć aż za dużo do chwili przyjazdu do Colombo. Jestem przekonany, że i pan potrzebuje zmiany. Na pańskim miejscu położyłbym się spać.

- Tak też zrobię. Będę spał tej nocy na pokładzie. Wie pan - ciągnął dalej, a oczy jego stały się znowu mętne - spałem źle kilka ostatnich nocy. Niepokoił mnie teolog - to jest to, teologiczne - niech to diabli wezmą - z rozpaczliwym wysiłkiem - wątpliwości teologów. Zastanawiam się czemu Wszechmocny stworzył nas, dlaczego stworzył zawroty głowy i bóle w krzyżu. Może ta noc będzie lepszą. - Wstał i oparł się z wysiłkiem o poręcz krzesła.

- Posłuchaj Vansitart - rzekłem poważnie, podchodząc bliżej i kładąc mu rękę na ramieniu. - Mógłbym pana tu przenocować. Nie możesz pan wyjść. Nie utrzymasz się na nogach. Musiał pan dużo wypić.

- Wypić?! - popatrzył na mnie tępym wzrokiem.

- Miał pan zwyczajnie mocniejszą głowę niż tym razem.

- Daję panu słowo, Atkinsonie, że od dwóch dni nie wziąłem nawet kropli do ust. Nie jestem pijany. Nie mam pojęcia, co się ze mną dzieje. - Chwytał moją dłoń i przesunął ją po własnym czole.

- Wielki Boże! - rzekłem.

Skóra jego przypominała w dotknięciu aksamit, pod którym leżała zbita warstwa śrutu. Była wszędzie gładka, lecz gdy się przesuwało po niej palcem, okazywała się szorstką, jak tarło.

- Wszystko w porządku - rzekł z uśmiechem na widok mojej przerażonej twarzy, - miałem nieraz wysypkę z gorąca, również tak wielką.

- Ależ to nie wysypka z gorąca.

- Nie, to ten Londyn. Jego zepsute powietrze. Ale jutro będę zdrow. Zresztą na statku mamy lekarza, będę zatem w pewnych rękach. A teraz muszę już odejść.

- Nie ma o tym mowy - rzekłem, sadowiąc go na krześle. - To nie żarty. Nie wyjdzie pan stąd, dopóki pana doktor nie zbada. Nie ruszaj się pan!

Wziąłem kapelusz i pobiegłem do mieszkania najbliższego lekarza. Przyprowadziłem go ze sobą. Ale pokój był pusty, Vansitart zniknął. Zadzwoiłem. Służący oznajmił, że ów pan zamówił dorożkę zaraz po moim odejściu i odjechał w niej. Poleciał dorożkarzowi zawieść

się do doków.

- Czy wyglądał na chorego? - zapytałem.

- Chory? - służący uśmiechnął się. - Nie, panie. Śpiewał przez cały czas co sił starczyło.

Wiadomość ta nie była tak uspokajająca, jak się to wydawało mojemu służącemu, przyszło mi jednak na myśl, że pojechał wprost na „Gwiazdę Wschodnią”, a że na jej pokładzie znajdował się lekarz, nie uważałem za stosowne zajmować się dłużej tą sprawą. Mimo to, myśląc o jego pragnieniu, rozpalonych rękach, błędnych oczach, niepewnej wymowie, a wreszcie jego czole, jakby pokrytym trądem, uniosłem z sobą do łóżka wspomnienie niezbyt przyjemne o moim gościu i jego odwiedzinach.

Nazajutrz o godzinie jedenastej udałem się do doków, ale „Gwiazda Wschodnia” wyruszyła już w dół rzeki i znajdowała się w pobliżu Gravesend. Pojechałem koleją do Gravesend, ale ujrzałem tylko szczyty jej masztów w oddali, a przed nią pióropusz dymu holownika. Musiałem wyrzec się zatem widoku przyjaciela GO chwili przyjazdu jego do Falamouth. Po powrocie do biura, zastałem telegram od pani Vansitart z prośbą abym się z nią spotkał. Następnego dnia, wieczorem, spotkaliśmy się rzeczywiście w Falamouth w Hotelu Królewskim, gdzie mieliśmy oczekiwać przyjazdu „Gwiazdy Wschodniej”. Dziesięć dni minęło bez wieści o niej.

Były to dni, których chyba nigdy nie zapomnę. W dniu, w którym „Gwiazda Wschodnia” wypłynęła z Tamizy, zerwał się od wschodu wściekły huragan i dał bez ustanku przez cały prawie tydzień. Nie pamiętano na południowym wybrzeżu równie potężnej, hałaśliwej i długiej burzy. Morze, na które spoglądaliśmy z okien naszego hotelu było całe zasnuwane mgłą, za wyjątkiem niedużego, smaganego deszczem półkola tuż przed naszymi oczami, gdzie kłębiły się i przewalały potoki piany. Wiatr był tak silny, że wznosić się mogły tylko niewielkie fale, gdyż zrywał czub każdego bałwana i ciskał przez całą szerokość zatoki. Mgła, wichur, morze, wszystko to pędziło na zachód, a ja, patrząc na tę wścieklą grę żywiołów, czekałem całymi dniami, mając za jedyną towarzyszkę białą, milczącą kobietę, w której oczach gnieździł się strach i Która, z czołem przyciśniętym do okna, wpatrywała się od wczesnego ranka, aż do zmierzchu, w ten mur szarej mgły, z której wyłonić się mógł okręt. Nic mówiła nic, ale twarz jej była jednym, ciągłym okrzykiem przerażenia.

Piątego dnia zasięgnąłem rady u jednego ze starych marynarzy. Miałem zamiar

porozmawiać z nim na osobności, ale ona widząc, że go wypytuję, znalazła się przy nas w jednej chwili z rozchyłonymi ustami i prośbą w oczach.

- Siedem dni od chwili wyjazdu z Londynu mówił - a pięć dni wśród burzy. No, wicher wymiół z Kanału wszystkie statki do portu po stronie francuskiej to bardzo prawdopodobne.

- Nie, nie; wiedział, że tu jesteśmy. Byłby telegrafował.

- To prawda. Musiał zatem popłynąć dalej, a w takim razie znajduje się teraz gdzieś w pobliżu Madery. Tak będzie pani, możesz pani być pewną.

- Albo też? Mówił pan, że zachodzi jeszcze trzecia możliwość?

- Tak mówiłem? Nie. Sądzę, że są tylko dwie. Nie przypominam sobie, abym mówił o trzeciej. Możesz pani być pewną, że okręt pani jest tam na Atlantyku i że w najbliższym czasie usłyszysz coś o nim, gdyż pogoda się zmienia. Proszę się nie martwić i czekać cierpliwie, a jutro zobaczy pani niebieskie, prawdziwe niebo kornwalijskie.

Przewidywania starego marynarza okazały się trafnymi, gdyż następnego dnia było jasno i spokojnie i tylko mała chmurka nisko na zachodzie świadczyła o przebytej burzy. A jednak od morza nie przyszła żadna wieść, nie pojawił się żaden okręt. Minęły trzy, przykre dni, najprzykrzejsze, jakie przeżyłem, aż wreszcie przyszedł do hotelu, z listem, jakiś marynarz. Wydałem okrzyk radości. Był to list od kapitana „Gwiazdy Wschodniej”. Po przeczytaniu pierwszych słów, chciałem go zasłonić dłonią, lecz ona położywszy swoją rękę, odsunęła ją na bok.

- Widziałam to, - rzekła cichym, spokojnym głosem. - Mogę zobaczyć i resztę.

„Szanowny Panie! - brzmiał list.

Mr Vansitart zachorował na ospę, a wicher spędził nas z wytyczonej drogi tak daleko, że nie wiemy co począć, gdyż on sam stracił przytomność i nie może nam dać żadnych wskazówek. Znajdujemy się przypuszczalnie w odległości niespełna trzystu mil od Funchalu tak, że mam zamiar zatrzymać się tam, oddać Mr Vansitarta do szpitala i oczekiwać w przystani na pański przyjazd. O ile wiem, odchodzi za kilka dni żaglowiec z Falamouth do Funchalu. List przesyłam brygiem „Marian, z Falamouthu, zaznaczając, że kapitanowi jego należy się pięć funtów.

Z szacunkiem

Ino. Hines”.

Była z niej cudowna kobieta, prawie podłotek, prosto ze szkoły, a jednak tak spokojna i silna, jak mężczyzna. Nie rzekła ani słowa, zacisnęła jedynie mocno wargi i włożyła kapelusz.

- Pani wychodzi? - zapytałem.

- Tak jest.

- Czy mogę pani w czymś pomóc? - Nie, idę do doktora.

- Do doktora?

- Tak jest, chcę się dowiedzieć, jak pielęgnować chorego na ospę.

Była przez cały wieczór bardzo zajęta, a nazajutrz, rano wyruszyliśmy na Maderę w barce „Róża z Sharonu”, przy pięknym wietrze, który pędził nas z szybkością dziesięciu węzłów na godzinę. Pięć dni płynęliśmy szybko naprzód i znajdowaliśmy się już w niewielkiej odległości od wyspy, lecz szóstego dnia nastąpiła cisza morska i leżeliśmy bez ruchu na wolno wzdymających się, przypominających olej falach, nie posuwając się naprzód ani trochę.

Nocy tej, o dziesiątej wieczorem staliśmy z Emilią Vansitart w tyle okrętu, wsparci o lewą burtę, a księżyc świecił nam w plecy rzucając na lśniąca wodę cienie barki i naszych własnych głów. Pasma księżycowego światła rozciągało się od tych cieni aż do linii nieboskłonu, migocąc i mieniąc się na łagodnie wznoszących się falach. Rozmawialiśmy z pochylonymi głowami, gawędząc o ciszy morskiej, o możliwości wiatru, o wyglądzie nieba, gdy wtem rozległ się plusk, jak przy skoku łososia; w jasnym świetle, wyskoczył z wody Jan Vansitart i spojrzał w naszą stronę.

Nigdy w życiu nie widziałem kogoś wyraźniej, niż tego człowieka. Księżyc świecił wprost na niego, a on sam oddalony był od nas zaledwie na trzy długości wiosła. Twarz jego była więcej obrzękła, niż przy ostatnim naszym spotkaniu, pokryta tu i ówdzie czarnymi strupami, a oczy rozwarte jak u człowieka, ogarniętego bezbrzeżnym zdumieniem. Z ramion spływała mu jakaś biała materia, jedną rękę miał podniesioną do ucha, drugą przyciśniętą do piersi. Widziałem jak skoczył z wody w powietrze, a fale, wzburzone w czasie ciszy przez jego wypłynięcie uderzyły o boki okrętu. Potem postać jego zanurzyła się znów w wodę i usłyszałem donośny trzask, jaki wydaje paląca się w mroźną noc wiązka chrustu. Kiedy spojrzałem raz drugi nie było już po nim żadnego śladu, za wyjątkiem kłębiącej się fali i wiru w miejscu, w którym się ukazał. Nie mogę powiedzieć, jak długo stałem tak, drżąc na całym ciele, jedną ręką podtrzymując omdlałą kobietę, a drugą trzymając się kurczowo burty statku. Cieszę się opinią człowieka zrównoważonego i niepodlegającego wzruszeniom ale tym razem byłem wstrząśnięty do głębi. Tupnąłem kilka razy o pokład, aby się upewnić, że byłem rzeczywiście panem swoich zmysłów i nie stałem się igraszką mojego nieokiełznanego umysłu. Gdy tak stałem jeszcze osłupiały, kobieta zadrżała, otworzyła oczy, westchnęła, a potem, oparłszy się o burtę rękami, zaczęła się wpatrywać w kąpiące się w księżycowym

świetle morze z twarzą, która przez jedną letnią noc postarzała się o lat dziesięć.

- Widziałeś go pan? - szepnęła.

- Widziałem coś.

- To był on! To Jan! On nie żyje! Wyjąkałem kilka niepewnych słów.

- Jestem przekonana, że zmarł o tej godzinie - szepnęła. - W szpitalu na Maderze. Czytałam o takich wypadkach. Myślał był przy mnie. Zjawił mi się jego duch. Och, mój Janie, mój drogi, drogi Janie!

Wybuchnęła nagle gwałtownym płaczem, musiałem ją zatem sprowadzić do kajuty, gdzie pozostała sama ze swoim smutkiem. Tej nocy zerwał się silny wiatr od wschodu; nazajutrz wieczorem minęliśmy dwie wysepki Lód Desertoc i z zachodem słońca zarzuciliśmy kotwicę w zatoce Funchalu. „Gwiazda Wschodnia” stała na kotwicy w niedalekiej odległości od nas, a z głównego masztu jej spływała flaga kwarantanny podczas, gdy bandera opuszczona była do połowy wysokości.

- Widzi pan - zawołała pani Vansitart. Nie płakała już, gdyż przygotowaną była na wszystko.

Tej samej nocy otrzymaliśmy urzędowe pozwolenie na przeniesienie się na „Gwiazdę Wschodnią”. Kapitan Hines czekał na pokładzie, a zakłopotanie i żal walczyły z sobą na jego szczerzej twarzy, gdy szukał słów, aby zwiastować jej nieszczęsną nowinę, ale ona sama wyjęła mu je z ust.

- Wiem, że mój mąż nie żyje - rzekła. - Umarł wczoraj w nocy, około godziny dziesiątej, w szpitalu na Maderze, nieprawdaż?

Żeglarz spojrział na nią z przerażeniem. - Nie pani, zmarł przed ośmiu dniami, na morzu i tam też musieliśmy go pochować gdyż, wobec ciszy morskiej, nie wiedzieliśmy, kiedy dopłyniemy do lądu.

Oto najważniejsze fakty w sprawie śmierci Jana Vansitarta i jego pojawienia się zonie gdzieś około 35 stopnia szerokości północnej i 15 długości zachodniej. Rzadko kiedy trafia się oczywisty wypadek zjawy i odtąd też mówiono o nim wiele, pisano o nim i przyjęto do wiadomości w towarzystwach naukowych. Co do mnie, chociaż telepatię uważam za dowiedzioną, chciałbym jednak wypadek ten wykluczyć, gdyż nie uważam, aby to był upiór Jana Vansitarta, wyskakującego w świetle księżyca z głębin Atlantyku. Wierzyłem zawsze, że dziwny zbieg okoliczności - jeden z tych, które wydają się tak nieprawdopodobne, a jednak trafiają się tak często - zatrzymał nas, podczas ciszy morskiej, w tym samym miejscu, gdzie go pochowano przed tygodniem. Zresztą, lekarz mówił mi, że ciężarek ołowiany nie był tak silnie przytwierdzony, a w ciągu siedmiu dni zachodzą w ciele procesy, które mogą je

wynieść na powierzchnię. Wynurzając się z głębiny, w której pogrążył je ciężar, mogło łatwo osiągnąć taką szybkość, aby wychylić się z wody całkowicie. Takie jest moje własne wyjaśnienie tej sprawy, a jeśli zapytacie mnie teraz, co się stało z ciałem, muszę wam przypomnieć ów donośny trzask i wir w wodzie. Rekiny żerują na powierzchni, a ilość ich w tych okolicach jest bardzo wielka.

SREBRNE ZWIERCIADŁO

3 stycznia. - Sprawa rachunków White'a i Wotherpoona okazuje się zadaniem olbrzymim. Trzeba przejrzeć i sprawdzić dwadzieścia grubych tomów. Kto będzie młodszym pomocnikiem? Bądź co bądź, jest to pierwsza większa robota, którą oddano całkowicie w moje ręce. Muszę dowieść, że zasługuję na zaufanie. Ma być jednak ukończona w takim czasie, aby prawnicy dowiedzieli się o rezultacie jeszcze przed rozprawą. Johnson mówił dziś rano, że muszę nakreślić ostatnią cyfrę przed dwudziestym miesiącem. Wielki Boże! Zatem do roboty; jeśli mózg i nerwy człowieka wytrzymają, dopełnię zobowiązania. Oznacza to pracę przy biurku, od dziesiątej do piątej, a potem drugie posiedzenie prawie od ósmej do pierwszej nad ranem. Oto dramat z życia buchaltera. Polując o tak wczesnej godzinie, kiedy wszyscy dokoła śpią, w szeregach kolumn za tymi nieuchwytnymi cyframi, które zmieniają szanowanego obywatela w oszusta, przychodzę do przekonania, że mimo wszystka zawód ów nie jest taki prozaiczny.

W poniedziałek natrafiłem na pierwszy ślad sprzeniewierzenia. Przeniknął mnie dreszcz, jak myśliwca, goniącego za grubszą zwierzyną, który znajduje trop swej ofiary. Patrząc jednak na dwadzieścia ksiąg i myśląc, przez jaki gąszcz muszę się jeszcze przedostać, aby ubić moją sztukę. Ciężka robota - ale i niezwykły sport w swoim rodzaju. Widziałem raz tego tłustego jegomościa na obiedzie w City, z czerwoną twarzą, świecąca się nad białą serwetką. Przyglądał się małemu, blademu mężczyźnie na drugim końcu stołu. Poblądłby także, gdyby wiedział, jakie mnie czekało zadanie.

6 stycznia. - Jakimi głupcami są lekarze, którzy zalecają mi odpoczynek, kiedy o wypoczynku nie ma mowy! Osły! Równie dobrze mogliby krzyczeć na człowieka, który ma na karku stado wilków, żeby się zachowywał zupełnie spokojnie. Z cyframi moimi muszę skończyć na oznaczony termin; jeśli się to nie stanie, poniosę szkodę na całe życie, jakżesz mam zatem myśleć o wypoczynku? Po rozprawie wezmę urlop na tydzień lub więcej.

Być może zresztą, że zrobiłem głupio, idąc w ogóle do doktora. Ale jestem w stanie ogromnego napięcia i zdenerwowania, siedząc sam w nocy przy mojej pracy. Nie jest to ból głowy - tylko jakaś dziwna ocieężałość, a czasami mgła przed oczami. Sądziłem, że brom, chloral lub coś w tym rodzaju zrobiłoby mi dobrze. Ale zaprzestać pracować? Propozycja podobna jest absurdem. Jest to, jak w biegu na daleką metę. Zrazu doznajesz dziwnych wrażeń, serce tłucze ci w piersiach, chwytasz w płuca powietrze, ale jeśli tylko zdołasz przetrzymać, wszystko się zmienia. Pozostanę przy pracy i oczekiwać będę odmiany. Jeśli nie nastąpi - wszystko jedno, pozostanę przy pracy. Przejrzałem dwa tomy i zabieram się do

trzeciego. Ten drab dobrze zacierał ślady, ale i tak je odszukam.

9 stycznia. - Nie miałem zamiaru chodzić do doktora drugi raz. A jednak zrobiłem to. „Wstrząs nerwowy, narażanie się na zupełne wyczerpanie, niebezpieczeństwo nawet dla mojego życia”. Zaiste, piękne orzeczenie. Dobrze, narażę się na wstrząs, stawię czoła niebezpieczeństwu i jak długo utrzymam się na krześle i odpowiadam za moje pióro, pójdę za śladem starego grzesznika.

Bądź co bądź, opiszę dziwne zdarzenie, które spowodowało mnie drugim razem, do lekarza. Zdam dokładne sprawozdanie z mych symptomów i wrażeń, gdyż są ciekawe same przez się - „interesujące stadium psychofizjologiczne” jak mówi doktor - a również dla tego, ponieważ jestem głęboko przekonany, iż po pewnym czasie wydadzą mi się bladymi i nierzeczywistymi, jak jakieś dziwne marzenie, coś pośredniego między snem, a jawą. Z tych powodów, utrwale je na piśmie, jak długo są jeszcze świeże, chociażby dla rozerwania się po tym bezustannym ślęczeniu nad cyframi.

W pokoju moim znajduje się stare, w srebro oprawne zwierciadło. Ofiarował mi je jeden z przyjaciół, wielki miłośnik starożytności, który nabył je, o ile wiem na licytacji i nie miał pojęcia, skąd pochodzi. Jest to duży przedmiot - ma trzy stopy szerokości i dwie wysokości - i stoi w tyle biurka na którym piszę, po mojej lewej ręce. Ramy są płaskie, prawie na trzy cale szerokie i bardzo stare, zbyt stare, aby można oznaczyć ich wiek według stempla lub innymi metodami. Tafla szklana wystaje nieco, ma brzeg skośnie spiłowany i odznacza się niezwykłą zdolnością odbijania promieni światła, którą spotykamy jedynie, jak mi się zdaje, u bardzo starych zwierciadeł. Kiedy się w nie spogląda, ma się takie odczucie perspektywy, jakiego nie widzi się w żadnym szkle nowoczesnym.

Zwierciadło jest w ten sposób umieszczone, że kiedy siedzę przy biurku, widzę w nim tylko odbicie czerwonych firanek u okien. Ale ostatniej nocy przytrafiło się coś dziwnego. Pracowałem już od kilku godzin, prawie ponad siły i ćmiło mi się stale przed oczami, o czym już wspominałem. Co pewien czas musiałem przerywać robotę i przecierać sobie oczy. Podczas jednej z takich przerw spojrzałem przypadkowo na zwierciadło. Przybrało wygląd niezwykły. Nie ujrzałem czerwonych firanek, które powinny się w nim odbijać, a tafla szklana była jakby pokryta mgłą i parą, nie na powierzchni, która błyszczała jak stal, ale gdzieś w głębi, w samym środku. Mgła ta, jak spostrzegłem przy bliższym zbadaniu, zdawała się poruszać to tu, to tam, aż w końcu zmieniła się w gęsty, biały obłok, wirujący w wielkich kłębach. Obłok ten był tak wyraźny i miał takie pozory rzeczywistości, a ja sam byłem tak przytomny, że odwróciłem się jak pomnę przekonany, że firanki się palą. Ale w pokoju panowała śmiertelna cisza - zupełny spokój, za wyjątkiem tykania zegara; nie było widać

żadnego ruchu, oprócz powolnego wirowania tajemniczej, gęstej chmury głęboko, gdzieś wewnątrz starego zwierciadła.

W miarę, jak patrzyłem, mgła, dym, obłok, jak to zresztą nazwiemy, zdawała się gromadzić i ustalać w dwóch punktach, blisko siebie leżących, które jak przekonałem się, z dreszczem zaciekawienia raczej, niż trwogi, były parą oczu spoglądających na pokój. Mogłem rozróżnić delikatne kontury głowy, sądząc po włosach, kobiecej, ale były one bardzo niewyraźne. Jedyne oczy widać było doskonale, oczy - czarne, błyszczące, z wyrazem namiętnego wzruszenia, wściekłości lub grozy, czego nie mogłem określić. Nigdy nie spotkałem się z oczami tak wymownymi, tak pełnymi życia. Kiedy siedząc wyprostowany na krześle, przesunąłem rękę po czole i zrobiłem wysiłek, aby się skupić, niewyraźne kontury głowy zniknęły wśród mgły, zwierciadło wyjaśniło się z wolna, a czerwone firanki ukazały się w nim znowu.

Sceptyk powie zapewne, że usnąłem nad moimi liczbami i że przygoda moja była sennym marzeniem. Nie ulega jednak wątpliwości, że byłem wówczas zupełnie przytomny. Zastanawiałem się nad wszystkim i patrząc na to zjawisko, wmawiałem sobie, że jest ono złudzeniem - chimerą - której przyczyna leży w bezsensowności i zmęczeniu. Ale skąd ta dziwna postać? Kim jest ta kobieta i jakie straszne wzruszenie czytałem w jej cudownych, brunatnych oczach? Przeszkadzają mi w pracy. Po raz pierwszy zrobiłem mniej, niż przeznaczyłem sobie na ten dzień. Może z tego powodu nie doznałem dziś w nocy żadnych niezwykłych sensacji. Jutro muszę się w czas obudzić, cokolwiek się stanie.

11 stycznia. - Wszystko w porządku praca moja postępuje. Włókno za włóknem, oplątuje w sieć to rosłe cielsko. Ale może jeszcze wydobyć się z matni, jeśli nerwy mi nie dopiszą, Zwierciadło będzie, jak się zdaje, pewnego rodzaju barometrem. Co noc widziałem, że pokrywa się mgłą, nim skończę moją robotę.

Dr Sinclair (który ma, jak się zdaje, coś z psychologa), zainteresował się tak bardzo moim opowiadaniem, że przyrzekł dziś wieczór obejrzeć zwierciadło. Zauważyłem, że na drugiej stronie, na metalu, nakreślono jakieś słowa dziwacznymi, starymi literami. Zbadał je przez lupę, ale nie dowiedział się niczego. „Sanc. X. Pal.” brzmiało zakończenie napisu, ale to nie posunęło nas ani na krok naprzód. Radził mi, abym je przeniósł do drugiego pokoju, chociaż jego zdaniem to, co w nim mogę ujrzeć, ma znaczenie tylko symptomatyczne. Niebezpieczeństwo leży w przyczynie. Należałoby usunąć, gdyby tylko można, dwadzieścia ksiąg rachunkowych - nie srebrne zwierciadło. Jestem teraz przy ósmej; w każdym razie posuwam się naprzód.

13 stycznia. - Możeby ostatecznie było mądrzej usunąć lustro. Miałem w związku z

nim, ubiegłej nocy, dziwną przygodę. Zaciekawia mnie jednak i interesuje tak bardzo, że teraz nawet pozostawię je na swoim miejscu. Ale co to wszystko ma znaczyć?

Przypuszczam, było to koło pierwszej nad ranem, w chwili, kiedy zamykając księgi i gotując się do pójścia na spoczynek, ujrzałem ją naprzeciw siebie. Stadium zamglenia i stopniowego wyłaniania się z mgły, musiało nie zwrócić mojej uwagi, gdyż stała teraz w całej swojej krasie, namiętności i udreće, tak dobrze widoczna, jakby rzeczywiście żyła. Postać była mała, lecz bardzo wyraźna - tak wyraźna, że każda zmarszczka jej twarzy, każdy szczegół ubrania wyrył się w mej pamięci. Siedziała po stronie lewej, na samym skraju lustra. Ukryta w cieniu postać przytuliła się do jej nóg - mogłem zaledwie rozeznaczyć, że był to mężczyzna - a w tyle, poza nimi, we mgle, widziałem jakieś osoby - osoby poruszające się. To, na co patrzyłem, nie było już obrazem, raczej sceną z życia, epizodem rzeczywistym. Kulila się i drżała, mężczyzna obok niej przypadł do jej stóp. Niewyraźne postacie wykonały szereg nagłych ruchów i gestów. Zaciekawienie pokonało strach, jakiego doznawałem. Do wściekłości doprowadzała mnie myśl, że widząc tyle, nie widziałem więcej.

Mogę jednak przynajmniej opisać szczegółowo ową kobietę. Jest bardzo piękna i zupełnie młoda - nie ma, jak sędzę, więcej nad dwadzieścia pięć lat. Jej wspaniałe włosy są koloru brunatnego, z odcieniem kasztanowatym, przechodzącym ku brzegom w złoty. Na głowie ma mały, płaski czepek, załamany od przodu pod kątem, zrobiony z koronki i obramowany perłami. Czoło ma wysokie, za wysokie może, chociaż skończenie piękne. Szczegół ten jednak nadaje jej słodkiej, kobiecej twarzyczce piętno siły i potęgi. Brwi wygięte są ponad ciężkimi powiekami w delikatne luki, a potem przychodzą te cudowne oczy - ogromne, ciemne, w których maluje się wielkie jakieś wzruszenie, gniew i groza, zmieszana z dumą osoby panującej nad sobą, która nie pozwala jej oszaleć. Policzki jej są blade, wargi białe z bólu, podbródek i szyja cudnie zaokrąglone. Postać siedzi, pochylona do przodu w krześle, wyprężona i sztywna, nieprzytomna ze strachu. Ubranie ma z czarnego aksamitu, na piersiach jej iskrzy się, jak płomień, drogi kamień, a w fałdach sukni widać złoty krucyfiks. Oto kobieta, której obraz żyje jeszcze w starym, srebrnym zwierciadle. Jakiś okropny czyn musiał się w nim utrwalić na zawsze, jeśli teraz, w innym stuleciu, dusza ludzka, w pewnych warunkach, odtworzyć go może tak wyraźnie.

Jeszcze jeden szczegół: po lewej stronie, na brzegu czarnej sukni, znajdował się, jak zrazu przypuszczałem, niekształtny pęk białej wstążki. Kiedy się jednak lepiej przypatrzyłem, a może kiedy obraz przybrał kształty wyraźniejsze spostrzegłem co to było.

Była to ręka człowieka, ze ściśniętymi i skurczonymi w śmiertelnym strachu palcami, która trzymała się konwulsyjnie fałdów sukni. Reszta czołgającej się po ziemi postaci

tworzyła niewyraźny zarys, tylko ta wyprężona ręka świeciła jasno na czarnym tle, pozwalając domyśleć się z jej rozpaczliwego uścisku, że rozgrywa się tam straszna tragedia. Człowiek ten boi się - boi okropnie. Widzę to wyraźnie: co go przyprawiło o taki strach? Czemu czepia się sukni kobiety? Odpowiedzi na to udzielić by mogły tylko poruszające się w głębi postaci. Widocznie stanowią niebezpieczeństwo tak dla niego, jak i dla niej. Ogarnęło mnie zaciekawienie. Zapomniałem o moich nerwach. Wpatrywałem się w obraz, jak w rozgrywającą się w teatrze scenę. Ale nie zobaczyłem nic więcej. Mgła rzedła. Nastąpił szereg nagłych, niewyraźnych poruszeń, w których brały udział wszystkie postaci. Potem zwierciadło stało się znowu czyste. Lekarz polecił mi przerwać pracę na jeden dzień. Mogę sobie na to pozwolić, gdyż zrobiłem w ostatnim czasie wielki krok naprzód. Nie ulega prawie żadnej wątpliwości, że wizje zależą całkowicie od stanu moich nerwów, gdyż nocy dzisiejszej siedziałem z godzinę przed zwierciadłem, bez żadnego rezultatu. Dzień odpoczynku zrobił swoje. Wątpię, czy kiedykolwiek przeniknę ich tajemnicę. Obejrzałem dziś wieczór zwierciadło przy dobrym świetle i dojrzałem na nim, oprócz zagadkowego napisu „Sanc. X. Pal.”, kilka znaków heraldycznych, bardzo słabo widocznych na srebrze. Muszą być bardzo stare, gdyż zatarły się już niemal zupełnie. O ile mogę wnosić, są to trzy ostrza strzał, dwa u góry i jedno w dole pokażę je jutro doktorowi.

14 stycznia. - Czuję się znów znakomicie i sadzę, że nic nie przeszkodzi mi już w dokończeniu pracy. Lekarz oglądał znaki na zwierciadle i zgodził się na to, że są to herby rycerskie. Zainteresowało go bardzo całe moje opowiadanie i wypytywał się drobiazgowo o szczegóły. Bawi mnie fakt, że powodują nim dwa sprzeczne pragnienia - jedno, aby pacjent stracił symptomu swojej choroby, drugie, aby medium - za takie mnie bowiem uważa - rozwiązało zagadkę z przeszłości. Radził mi dalszy odpoczynek, ale nie stawiał zbyt wielkiego oporu, kiedy oświadczyłem mu, że przed skontrolowaniem dziesięciu pozostałych ksiąg rachunkowych nie ma o tym mowy.

17 stycznia. - Przez trzy noce nie zdarzyło się nic szczególnego, widocznie dzień odpoczynku urobił swoje. Skończyłem już trzy czwarte pracy, teraz jednak muszę przysiąc fałdów, gdyż prawnicy domagają się dowodów. Będą ich mieli aż nadto. Stwierdziłem oszustwo w jakiejś setce pozycji, Skoro uprzytomnia sobie, z jakim wykrętem, chytrym drabem mają do czynienia, zyskam i ja na całej tej sprawie. Fałszywe rachunki, fałszywe bilanse, dywidendy kosztów płacone z kapitałów, straty wciągnięte do ksiąg jako zyski, pomijanie kosztów eksploatacji, sprzeniewierzenie drobnych nawet kwot - to ładna historia!

18 stycznia. - Ciągły ból głowy, drgawki nerwowe, zawroty, bicie w skroniach - to wszystkie objawy choroby, która wróciła rzeczywiście. A jednak martwi mnie nie tyle powrót

wizji, ile to, że ustana, zanim dowiem się o wszystkim.

Ale dzisiejszej nocy dowiedziałem się więcej. Człowiek czołgający się po ziemi, ukazał się tak wyraźnie jak kobieta, której sukni się czepiał. Jest to mężczyzna niewielkiego wzrostu, smagły, z czarną, spiczastą bródką. Ma na sobie luźny kaftan adamaszkowy, przybrany futrem. W stroju jego przeważa barwa czerwona. Jakżeż jest wylęknięty! Słania się, drży i ogląda za siebie. W drugiej ręce trzyma niewielki sztylet, ale strach i drżenie nie pozwalają mu na użycie broni. Zaczynam też widzieć zgromadzone w głębi osoby. Dzikie twarze, brodate i czarne, wylaniają się spośród mgły. Jedna zwłaszcza straszliwa postać, chuda, jak szkielet, z zapadłymi policzkami, głęboko osadzonymi oczami. Ta również trzyma w ręku sztylet. Na prawo od kobiety stoi rosły mężczyzna, bardzo młody, o włosach jasnych i ponurej, zawziętej twarzy. Piękna kobieta patrzy na niego wzrokiem błagalnym. To samo czyni mężczyzna, leżący na ziemi. Młodzieniec ów zdaje się być sędzią ich losu. Czołgający się człowiek przysunął się bliżej i skrył w fałdach sukni kobiety. Wysoki młodzieniec pochyla się i stara się odciągnąć ją od niego. To wszystko, co widziałem ubiegłej nocy, zanim obraz rozpułynał się w zwierciadle. Czyż nigdy nie dowiem się, cóż to ma znaczyć? To nie wytwór wyobraźni. Jestem pewny! Gdzieś, kiedyś scena ta musiała się istotnie rozegrać, a stare zwierciadło odbija ją tylko. Ale gdzie i kiedy?

20 stycznia. - Praca moja dobiega końca. Czas najwyższy. Czuję napięcie mózgu, jakieś nieznośne napięcie, które ostrzega, że może być źle. Zapracowałem się do granic ostatecznych. Ale dzisiejsza noc zakończy moje trudy. Nie wstanę z krzesła, dopóki nie przejrzę ostatniej książki i nie zestawię wyników, choćby mnie to miało kosztować bardzo drogo. Muszę to zrobić! Muszę.

7 lutego. - Zrobiłem. Boże drogi, co za przejście! Nie wiem, czy zdołam opisać to wszystko dokładnie.

Niech mi będzie wolno zaznaczyć na wstępie, że piszę te słowa w prywatnej lecznicy doktora Sinclaire'a w trzy tygodnie prawie po ostatniej notatce w moim dzienniku. W nocy z 20 na 21 stycznia nerwy odmówiły mi posłuszeństwa i ocknąłem się dopiero przed trzema dniami tutaj, w lecznicy. Mogę jednak odpocząć ze spokojnym sumieniem. Pracę mą skończyłem przed utratą przytomności. Liczby, jakie zestawilem, znajdują się w rękach adwokata. Polowanie skończone.

A teraz opowiem, co się stało owej nocy. Przysiągłem sobie zakończyć pracę i tak intensywnie się nią zająłem, że chociaż głowa mi wprost pękała, nie oderwałem się od niej przed zliczeniem ostatniej kolumny cyfr. A jednak było to z mojej strony wielkie poświęcenie, gdyż zdawałem sobie sprawę, że przez cały czas rozgrywają się w zwierciadle

rzeczy niezwykle. Mówił mi o tym każdy nerw. Nie spojrziałem w nie jednakże dopóki nie skończyłem całej pracy. A kiedy w końcu, wyczerpany rzuciłem pióro i wzniosłem oczy, ujrzałem widok niezwykle.

Zwierciadło jaśniało w srebrnej oprawie, jak scena na której rozgrywa się dramat. Mgły ani śladu. Napięcie nerwów wytworzyło tą zadziwiającą jasność. Każdy szczegół, każdy ruch zarysował się, jak na jawie. I pomyśleć, że mnie zmęczonemu buchalterowi, jednostce zupełnie prozaicznej, badające księgi rachunkowe wykrętnego bankruta, danym było, spomiędzy wszystkich ludzi, spojrzeć na taką scenę.

Scena była ta sama i osoby te same, lecz dramat postąpił trochę na przód. Wysoki młodzieniec trzymał kobietę w swoich ramionach. Opierała się podnosząc ku niemu wzrok błagalnie. Postacie w głębi odciągnęły na bok czołgającego się u jej stóp człowieka. Było ich dwanaście. Ludzie brodaci, groźni. Otoczyli go kołem i kłuli sztyletami. Wszyscy uderzali równocześnie. Ręce ich podnosiły się i opadały. Z człowieka mordowanego krew nie ciekła, ale wprost tryskała. Czerwony jego kaftan był cały nią zboczony. Rzucił się to w tę, to w ową stronę, purpurą okryty na czerwieni, jak dojrzała śliwka, a oni uderzali wciąż i krew wciąż tryskała z niego strumieniami. Było to straszne - straszne! Ciągnęli go, kopiąc nogami ku drzwiom. Kobieta oglądała się za nim, a usta jej chwytaly gorączkowo powietrze. Nie słyszałem nic, widziałem jednak, że krzyczy. I nagle, czy to było następstwem rozgrywającej się przede mną sceny, czy też rezultatem kilkutygodniowej pracy i reakcji organizmu po jej ukończeniu, uczułem, że kręci się cały pokój, a podłoga z pod nóg mi się usuwa. Nie pamiętam nic więcej. Rano znalazła mnie gospodyni zemdlonego (przed srebrnym zwierciadłem), ale dopiero przed trzema dniami ocknąłem się w cichym pokoju lecznicy.

9 lutego. - Dziś opowiedziałem doktorów: Sinclairowi wszystkie moje przejścia. Przedtem nie pozwolił mi o tym wspominać. Słuchał z głębokim zainteresowaniem.

- Czy nie przypomina sobie pan podobnego zdarzenia z historii? - zapytał, spoglądając na mnie podejrzliwie. Upewniłem go, że historię znam bardzo mało.

- I nie wie pan, skąd pochodzi zwierciadło i do kogo przedtem należało? - pytał dalej.

- Czyżby doktor to wiedział? - zapytałem, uderzony sposobem, w jaki wypowiedział te słowa.

- To dziwne - rzekł - ale trudno to sobie tłumaczyć. Przyszło to mi na myśl już pierwszej, kiedy słuchałem pańskich słów, ale teraz nie mam już żadnych wątpliwości. Wieczorem przyniosę panu parę notatek.

Później. - Przed chwilą mnie opuścił. Muszę zapisać to, co mówił, o ile tylko słowa jego dobrze zapamiętałem. Przybył, przynosząc z sobą kilka tomów, które położył na moim

łóżku.

- Przejrzysz je pan - rzekł - kiedy zechcesz. Zrobiłem tu kilka notatek. Nie ulega wątpliwości, że widział pan zamordowanie Rizzia przez szlachtę szkocką, w obecności królowej Marii, w marcu 1566 roku. Opis kobiety, którą widziałeś, jest dokładny. Wysokie czoło i ciężkie powieki przy niezwyklej piękności, trudno zastosować do innej kobiety. Smukłym młodzieńcem był jej mąż Darnley. Rizzio, jak mówi kronika ówczesna „miał w owym dniu luźny kaftan z adamaszku, podbitego futrem i spodnie z czerwonego aksamitu”. Jedną ręką uczeplił się sukni Marii, a w drugiej trzymał sztylet. Człowiek z zapadłymi policzkami to Ruthven, który niedawno wstał z łoża choroby. Wszystko się zgadza.

- Ale dlaczego ja jeden z pośród wszystkich ludzi ujrzałem tę scenę - zawołałem oszołomiony.

- Ponieważ znalazłeś się pan w odpowiednim nastroju do odebrania wrażenia. Ponieważ jesteś właścicielem zwierciadła, które nastreczyło to wrażenie.

- Zwierciadło! Więc pan sądzi, że jest to zwierciadło królowej Marii? Ze stało w pokoju, gdzie dokonano morderstwa?

- Jestem przekonany, że należało do Marii. Była ona wówczas królową Francji. Własność jej musiała być oznaczona królewskimi herbami. To coś pan uważał za trzy ostrza strzał było właściwie liliami Francji.

- A napis?

- Sanc. X Pal. - Napis ten znaczy: Sancti crucis Palatium. Ktoś zaznaczył na ramie zwierciadła, skąd pochodzi, mianowicie z pałacu św. Krzyża.

- Holyrood! - krzyknąłem.

- W istocie. Zwierciadło pańskie pochodzi z Holyrood. Przeżyłeś pan dziwną przygodę i wyszedłeś z niej cało. Sądzę, że nie narazisz się już więcej na coś podobnego.

MAŁŻEŃSTWO BRYGADIERA

Mam zamiar mówić przyjaciele moi, o dniach dawno minionych, kiedy zacząłem dopiero zyskiwać sławę, która uczyniła nazwisko moje tak popularnym. Nic wówczas jeszcze nie wskazywało, żebym z pomiędzy trzydziestu oficerów huzarów Conflansa, odznaczał się wybitniejszymi zdolnościami, niż reszta moich kolegów. Wyobrażam sobie ich zdziwienie, gdyby im ktoś powiedział, że porucznik Stefan Gerard robi tak wspaniałą, karierę, dowodzić będzie brygadą i otrzyma z własnych rąk cesarza ów krzyż, który pokazać wam mogę w każdej chwili, jeśli zechcecie mnie odwiedzić w moim małym domku. Wiecie, w tym małym bielutkim domku, porośłym dzikim winem na wybrzeżu Garonny.

Ludzie mówią, że nigdy nie zaznałem trwogi. Zapewne słyszeliście o tym. Słów ich nie prostowałem z głupiej dumy przez szeregi lat. Teraz jednak, kiedy już jestem stary, pozwolę sobie na szczerłość! Odważny nie potrzebuje kłamać. Jedyne tchórz lęka się zwierzeń. Oświadczam wam dzisiaj, że i ja jestem człowiekiem i ja wiem kiedy skóra cierpnie, to włos jeży się ze strachu, że i ja uciekałem co sił starczyło. Uderza was to niemile? Trudno, w chwili, kiedy sami straciecie odwagę, pocieszy was myśl, że nawet Stefan Gerard wiedział, co znaczy trwoga. Opowiem wam teraz, jak się to stało i jak dzięki temu przypadkowi zyskałem żonę. Francja nie prowadziła naówczas wojny, a my, Husarze Conflansa, staliśmy przez całe lato obozem, o kilka mil od miasta normandzkiego Les Andelis. Sama miejscowość nie jest zbyt wesoła, ale my z lekkiej kawalerii umieliśmy rozruszać każdą miejscowość, gdzieśmy się znaleźli, dlatego też czas upływał nam bardzo mile. Dzieje wielu lat i wiele scen zatarło się w mej pamięci, ale nazwisko Les Andelis przywodzi na myśl ruiny potężnego zamczyska, wielkie sady jabłoni, a przede wszystkim wizje najpiękniejszych dziewcząt Normandii. Były to, rzecz można, najładniejsze przedstawicielki swej płci, równie jak i my naszej, dobraliśmy się zatem doskonale w owo miłe, słoneczne lato. Ah! młodość, piękno, męstwo, a potem te lata nudów i życiowej szarzyzny, które po nich następują. Niekiedy zdaje mi się, że sława przeszłości ciąży mi na sercu, jak ołów. Nie, panie, wino nie usunie tych myśli, gdyż pochodzą one z serca i duszy. Na wino reaguje tylko ciężkie ciało nasze i jeśli jemu je ofiarujecie, nie odmawiam.

Jedna z zamieszkujących tę okolicę dziewcząt wyróżniała się tak bardzo pięknnością swoją i urokiem, że zdawała się jakby specjalnie dla mnie przeznaczoną. Nazywała się Maria Ravon, a jej rodzina, Ravonowie osiedlili się w tych stronach w dniach, kiedy książę Wilhelm wyprawia się na zdobycie Anglii. Gdy przymknę oczy widzę ją, jak wówczas; jej ciemne policzki, przypominające róże bagienne, jej orzechowe oczy tak łagodne i tak odważne

zarazem, jej krucze włosy, przedmiot żądy i zachwytu i jej postać tak zgrabną, jak młode drzewko gnące się pod wiatrem. Oh! pomnę, jak wymykała się z pierwszego mego uścisku, gdyż była pełną ognia i dumy, zawsze uciekającą, zawsze stawiającą opór, broniącą się do ostateczności, aby oddanie się było tym bardziej słodkie. Z ogólnej liczby stu czterdziestu kobiet... Ale po cóż porównywać, kiedy wszystkie są prawie skończone piękne.

Dziwicie się zapewne, czemu nie miałem rywala, jeśli dziewczyna była w istocie tak piękna. Powody były łatwo zrozumiałe, drodzy przyjaciele, postarałem się mianowicie, aby rywale moi znaleźli się w szpitalu, a więc przede wszystkim Hippolit Lesoeur, który składał im wizyty przez dwa tygodnie i który, ręczę za to, jeśli tylko żyje utyka jeszcze z powodu kuli tkwiącej w jego kolanie. I biedny Victor nosił po mnie bliznę, aż do śmierci pod Austerlitz. Toteż zrozumiano wkrótce, że choćbym nie zdobył Marii będę miał jednakże ładne pole do popisu. W obozie naszym mówiono, że szarża na zwarty czworobok piechoty grozi mniejszym niebezpieczeństwem, niż częste przebywanie w domu Ravonów.

Pozwólcie mi się przez chwilę zastanowić, czy chciałem Marię poślubić? Ah! ah! moi przyjaciele, małżeństwo to rzecz nie dla huzara. Dziś jest w Normandii, jutro w górach Hiszpanii, lub na bagnach Polski. Na cóż mu żona? Czyżby to było korzystnym dla obu stron? Czyż myśl o rozpacz, jakiej powodem stanie się jej śmierć, nie wpłynęłaby ujemnie na jego odwagę, lub przekonanie, że każdy kurier może przynieść jej wieść o nieuchronnej rozłące nie utrzymywałaby jej w ustawicznej trwodze? Huzar może się tylko ogrzać przy ogniu i spieszyć dalej, szczęśliwy, jeśli znajdzie inne ognisko, do którego zdoła się przytulić. A Maria, czy myślała o małżeństwie? Wiedziała dobrze, że dźwięk naszych trąbek, wzywający do marszy, zadecyduje o naszym małżeńskim pożyciu. Lepiej, dużo lepiej pozostać na własnej ziemi, przy własnej rodzinie, zamieszkać z małżonkiem na zawsze, wśród bogatych sadów u stóp ogromnego zamczyska Le Galliarda. Śniłaby zapewne o swoim huzarze, ale na jawie żyłaby w świecie rzeczywistym. Na razie myśli podobne nie zaprzętały nam głowy; przebywaliśmy chętnie razem, żyjąc teraźniejszością i nie myśląc o jutrze. Po prawdzie, czasami ojciec jej, krzepki starzec, z twarzą podobną do jednego z własnych jabłek i matka, chuda, gderliwa wieśniaczka dawali mi do zrozumienia, że chcieliby dowiedzieć się o moich zamiarach ale w głębi duszy byli przekonani, że Stefan Gerard jest człowiekiem honoru i że w towarzystwie jego córka ich jest równie bezpieczną, jak szczęśliwą. Tak stały sprawy aż do owej nocy, o której mówię.

Było to w niedzielę wieczór. Wybrałem się do nich konno z obozu. Przybyliśmy do miasteczka w większej kompanii i pozostawili nasze konie w oberży, skąd miałem zamiar przyjść piechotą do domu Ravonów, od którego dzieliło mnie tylko szerokie pastwisko

rozciągające się aż po same drzwi ich mieszkania. W chwili, kiedy miałem odchodzić podbiegł do mnie oberżysta.

- Proszę o wybaczenie, panie poruczniku - rzekł. - Wprawdzie droga jest dalej, ale radziłbym iść tamtędy.

- Zbaczam na milę lub więcej.

- Wiem o tym. Ale tak będzie lepiej - rzekł z uśmiechem.

- A czemuż to?

- Gdyż po polu goni spłoszony byk angielski - odparł.

Gdyby nie jego zdradliwy uśmiech zastanowiłbym się zapewne. Tego jednak, że oznajmił mi o niebezpieczeństwie i uśmiechnął się do mnie w ten sposób, nie mogła znieść moja duma. Pouczyłem go gestem, co sędzę o angielskim byku.

- Pójdę drogą najkrótszą - rzekłem.

Zaledwie znalazłem się na pastwisku, kiedy zrozumiałem, że uniósł mnie temperament. Był to wielki, kwadratowy kawałek pola, kiedy wstąpiłem na nie poczułem się jakby łupinką na pełnym morzu, dla której jedynie bezpiecznym schronieniem jest port, skąd wypływała. Pastwisko otoczone było zewsząd murem. Jedynie strona, od której szedłem, była wolna. Na wprost mnie stał folwark Ravonów i odchodzący od niego na lewo i na prawo mur. Tylne drzwiczki wychodziły na pole równie jak szereg okien, te jednak, jak zwyczajnie w irlandzkich domach, zaopatrzone były w kraty. Ruszyłem spiesznym krokiem ku owym drzwiom, które były dla mnie jedynym bezpiecznym portem, maszerując krokiem posuwistym, jak przystoi żołnierzowi, ale możliwie prędko. Do pasa byłem spokojny, a nawet śmiały, ku dołowi szybki i rączy.

Znalazszy się prawie na środku pola spostrzegłem zwierzę. Stało, bijąc przednimi nogami, pod wielkim jesionem, który rósł po mojej prawej ręce. Nie odwróciłem głowy i nikt z patrzących nie domyśliłby się, że go spostrzegłem jakkolwiek obserwowałem go z niepokojem. Czy to, że był w dobrym humorze, czy też powstrzymywała go moja zupełna obojętność, w każdym razie nie ruszył się w moją stronę ani na krok. Utkwiłem wzrok w otwartym oknie sypialni Marii, znajdującym się tuż nad tylnymi drzwiami w nadziei, że jej drogie, kochane, czarne oczy przyglądają mi się z poza firanek. Bawiłem się moją małą laską, zatrzymywałem się od czasu do czasu, aby zerwać pierwsnek i nuciłem jedną z naszych piosnek, aby okazać pogardę angielskiemu zwierzowi i udowodnić ukochanej, jak mało dbam o niebezpieczeństwo w drodze do niej. Zwierzę było zmiażdżone moją odwagą tak, że mogłem bezpiecznie i z godnością wejść do domostwa otworzywszy drzwi od tyłu, I nie warto się było narażać? Nie warto było się narażać na niebezpieczeństwo, chociażby

wszystkie byki Kastylii broniły dostępu. Ah! te godziny, kiedy młode stopy nasze zaledwie zdawały się dotykać ziemi, kiedyśmy żyli w stworzonym przez nas kraju słodkich marzeń! Oceniała moją odwagę i kochała mnie za nią. Kiedy jej zarumieniona twarzyczka spoczywała na moim jedwabnym dolmanie spoglądała na mnie zdumionymi oczami jaśniejącymi z podziwu i miłości, słuchając Opowiadań, z których mogła nabrać wyobrażenia o prawdziwym charakterze kochanka.

- Nigdy nie zabrakło ci odwagi? Nigdy nie okazałeś uczucia trwogi? - zapytała.

Roześmiałem się na podobne przypuszczenie. Czyż w sercu huzara znalazłoby się miejsce na trwogę? Młody byłem, chciałem jej to zaraz udowodnić.

Opowiedziałem jej, jak wprowadziłem mój szwadron w czworobok węgierskich grenadierów. Uściskała mnie drząc na całym ciele. Opowiedziałem jej, jak przepłynąłem na moim koniu Dunaj wioząc w nocy depezę do Davousta. Po prawdzie, nie był to Dunaj, nie było tam również tak głęboko, abym musiał płynąć, ale kiedy się ma lat dwadzieścia i gorące serce, przedstawia się wszystko w jak najlepszym świetle. Opowiedziałem jej wiele podobnych historii i w drogich jej oczach czytałem coraz większe zdumienie.

- Nie śniłam nawet Stefanie - mówiła - aby istniał człowiek tak dzielny. Szczęśliwa Francja, która ma takiego żołnierza, szczęśliwa Maria, że ma takiego kochanka!

Przypuszczacie zapewne, że rzuciłem się do jej nóg szepcząc, że jestem najszcześniejszym z ludzi. Znalazłem wreszcie kogoś, co mnie ocenił i zrozumiał.

Było to czarujące sam na sam, zbyt słodkie i subtelne, aby je mógł zrozumieć jakiś ograniczony umysł. Rozumiecie jednak, że rodzice mieli pewne pojęcie o swoich obowiązkach. Grałem w domino z jej starym ojcem i zwijałem włóczkę z jego żoną, nie zdołałem ich jednak przekonać, że z miłości ku nim zaglądam trzy razy na tydzień do ich domu. Od dłuższego czasu zanosilo się na wyjaśnienie i przyszło do niego tej nocy. Marię, opierającą się rozkosznie, odprowadzono do jej pokoiku, a ja stanąłem przed starymi, którzy zarzucili mnie pytaniami co do mojej przyszłości i moich zamiarów.

- Albo-albo - rzekli prosto z mostu, jak przystało na wieśniaków. - O ile nie zostaniesz narzeczoną Marii, nie chcemy cię widzieć na oczy.

Mówiłem im o moim honorze, nadziejach i przyszłości, ich jednak stale obchodziła terażniejszość. Mówiłem im o mojej karierze, oni jednak myśleli samolubnie tylko o swojej córce. Położenie moje było nadzwyczaj trudne. Z jednej strony, nie mogłem wyrzec się Marii, z drugiej, co miał robić z żoną młody huzar? W końcu, przyciśnięty do muru, prosiłem ich o zwłokę, chociażby jednodniową.

- Chcę widzieć się z Marią. - Chcę widzieć się natychmiast. Tu chodzi przede

wszystkim o nią i jej szczęście.

Starzy nie byli bardzo zadowoleni, ale nie mogli nic na to powiedzieć. Życzyli mi, w krótkim słowach dobrej nocy, a ja poruszony do głębi duszy, ruszyłem do gospody. Wyszedłem przez te same drzwi, którymi wszedłem i które teraz za mną zamknięto i zaryglowano.

Maszerowałem zamyślony przez pastwisko, roztrząsając zapytania starsuszków i zręczne moje odpowiedzi. Co miałem czynić. Przyrzekłem widzieć się z Marią bezzwłocznie. Cóż miałem jej powiedzieć? Miałem się dać ujarzmić jej piękności i wyrzec mojego zawodu? Dzień, w którym by Stefan Gerard zamienił pałasz na kosę byłby zaiste dla cesarza i Francji dniem nieszczęśliwym. A może należało się wyrzec Marii i stłumić popędy serca? Czyż nie było innej drogi? Czyż nie mógłbym być szczęśliwym małżonkiem w Normandii, a dzielnym żołnierzem gdzie indziej? Miałem głowę pełną podobnych myśli, kiedy mą uwagę zwrócił niespodziewany szelest. Księżyc wychylił się z poza chmur i w jego świetle ujrzałem stojącego przede mną byka.

Pod jesionem wydawał się wielkim zwierzęciem, teraz przybrał wprost potworne rozmiary. Był czarnej maści. Głowę opuścił ku ziemi, a światło księżycowe padało na dwa groźne, nabiegłe krwią ślepią. Ogonek uderzał szybko o boki, a przednie nogi zarył w ziemię. Nigdy, we śnie nawet nie widziałem tak straszego potwora. Posuwał się z wolna i nieznacznie w moją stronę.

Obejrzawszy się spostrzegłem, że w roztargnieniu oddaliłem się dość znacznie od skraju pastwiska. Byłem już prawie w jego środku. Najbliższym moim schronieniem była oberża, ale byk zagradzał mi do niej drogę. Gdyby zwierzę domyślało się, jak mało się go lękam może usunęłoby się z drogi. Wzruszyłem ramionami i machnąłem ręką lekceważąco, zagwizdałem nawet. Zwierze przypuszczało zapewne, że je wołam, puściło się bowiem pędem w moją stronę. Zwróciłem twarz odważnie ku niemu, ale zacząłem się szybko cofać. Kiedy się jest zwinny i młodym można nawet biec z powrotem, a jednak patrzeć z uśmiechem w twarz nieprzyjaciela. Podczas biegu groziłem zwierzęciu laską. Może roztropniejszą rzeczą było zapanować nad swoją odwagą. Wzięło to za pogroźkę - chociaż zgoła nie miałem podobnych zamiarów. Było to nieporozumienie, fatalne nieporozumienie. Parsknął, zadarł ogon w górę i rzucił się na mnie.

Czy widzieliście kiedy przyjaciele, atakującego byka? To widok niezwykły. Sądzicie może, że biegnie truchtem lub galopuje? Nie, to wiele gorsze, to szereg skoków, z których każdy jest coraz bliższym i coraz groźniejszym. Nie boję się ludzi. Jeśli mam do czynienia z człowiekiem czuję, że moja szlachetna postawa, odwaga i swoboda, z którą patrzę w twarz

przeciwnikowi, przyczynia się znacznie, do wytrącenia mu z ręki oręża. Co on może, mogę i ja, dlaczegóż miałbym się go lękać? Ale inna sprawa, gdy się ma do czynienia z rozwścieczonym bykiem. Nie możesz go przekonywać, uspokajać, udobruchać, nie możesz mu stawiać oporu. Dumna moja postawa nie zrobiła na zwierzęciu żadnego wrażenia. W jednej chwili bystry mój rozum rozważył wszelkie możliwości i przyszedł do przekonania, że nikt, nawet sam cesarz, nie dotrzymałby placu w podobnej sytuacji pozostawała tylko - ucieczka.

Ale są różne sposoby ucieczki. Można uciekać z godnością i można uciekać w panicznym strachu. Przypuszczam, że uciekałem jak przystało na żołnierza. Postawa moja była pełną dumy, chociaż nogi poruszały się rączo. Całe moje zachowanie się było protestem przeciw sytuacji, w której się znalazłem. Biegiem, śmiejąc się - gorzkim śmiechem” bohatera, który sztydzi z własnego losu. Gdyby nawet wszyscy moi towarzysze otoczyli wokół pastwisko, nie straciliby wiary w moją odwagę, widząc pogardę z jaką wymykałem się wrogowi.

Ale teraz czas na zwierzenia. Kiedy zaczyna się ucieczka, chociażby godna żołnierza, grozi zawsze paniką. Czyż nie było tak z Gwardią pod Waterloo? Było tak owej nocy i ze Stefanem Gerardem. Ostatecznie nie obserwował mnie nikt oprócz tego przeklętego byka. Jeśli na krótki czas zapomniałem o pozorach, czyż nie świadczyło to o roztropności? Z każdą chwilą słyszałem coraz bliżej tupot nóg i straszliwe parskanie potwora. Zdjął mnie strach na myśl o tak podłej śmierci. Brutalna wściekłość zwierzęcia przyprawiła mnie o dreszcz. W jednej chwili zapomniałem o wszystkim. Było nas na świecie tylko dwóch - byk i ja. - On, usiłujący mnie zabić i ja, który mu chciałem uciec. Z pochyloną głową, zacząłem biec - biec, co sił starczy.

Pędziłem do domu Ravonów. Nagle uprzytomniłem sobie, że nie ma tam dla mnie schronienia. Drzwi były tam dla mnie zamknięte, okna zaopatrzone w kraty. Po obu stronach domostwa rozciągał się wysoki mur. A byk zbliżał się za każdym podskokiem. Ale Stefan Gerard, przyjaciele moi, znajduje się w każdym niebezpieczeństwie na wysokości zadania. Otwierała się przede mną tylko jedna droga; wybrałem ją bez namysłu.

Wspomniałem, że okna sypialni Marii znajdowały się ponad drzwiami. Firanki były zasunięte, lecz okiennice otwarte, a w pokoju paliła się lampa. Młody i zręczny, czułem, że jednym skokiem dosięgnąć mogę okna i ująć niebezpieczeństwo. Zwierzę było tuż za mną. Bez niczyjej pomocy zrobiłbym, jak zamierzałem. Kiedy jednak odbiłem się od ziemi we wspaniałym podskoku, potwór podrzucił mnie z całej siły w górę. Wleciałem przez okiennicę jakby wystrzelony z armaty i upadłem na ręce i kolana na środek pokoju.

Przy oknie stało, jak się zdaje, łóżko, ale przeleciałem nad nim bez szwanku. Gramoląc się na nogi spojrzałem przerażony w tę stronę, było jednak próżne. Maria siedziała w pokoju, na małym krzeselku, a zaczerwienione jej policzki świadczyły o tym, że płakała. Siedziała zdumiona, bez ruchu, spoglądając na mnie z otwartymi ustami.

- Stefan! - szepnęła. - Stefan!

W jednej chwili odzyskałem pewność siebie. Dla gentelmena stała tylko jedna droga otworem i tylko tą wybrałem.

- Mario! - zawołałem. - Wybacz mi niespodziewany powrót. - Mario, mówiłem dzisiaj z twoimi rodzicami. Nie mogłem wrócić do obozu nie zapytawszy cię wpierw, czy chcesz mnie uczynić najszcześliwszym z ludzi i zostać moją żoną.

Zdumienie nie pozwoliło jej zdobyć się na natychmiastową odpowiedź. Nad wszelkimi jej uczuciami dominował zachwyt.

- Oh! Stefanie! Cudny Stefanie! - zawołała, ściskając mnie za szyję. - Czy istniała kiedy taka miłość? Czy istniał kiedy taki mężczyzna? Kiedy tak stoisz, blady i drżący ze wzruszenia, wydajesz mi się bohaterem marzeń moich. Jakżesz ciężko oddychasz, mój luby; musiał to być wspaniały skok, który cię sprowadził w moje objęcia! W chwili kiedy przybyłeś, usłyszałam tętent kopyt twego bojowego rumaka.

Szkoda było wyjaśnień, zresztą jako świeżo zaręczony wolałem użyć ust w inny sposób. Na korytarzu wszczął się jednak ruch; dał się słyszeć tupot nóg na podłodze. Zbudzeni moim hałaśliwym przybyciem, starzy pobiegli do piwnicy, aby się przekonać, czy wielka beczka jabłeczniaka nie zleciała z podstawy, zaraz jednak powrócili, domagając się otwarcia drzwi. Rozwarłem je na oścież i stanąłem w nich trzymając

Marię za rękę.

- Przywitajcie syna! - rzekłem.

- Ah! ta radość, jaką wniosłem w ich niskie progi. Jeszcze dziś serce się weseli na to wspomnienie. Nie dziwili się, że wleciałem przez okno, gdyż tak gorącym kochankiem mógł być tylko rycerski huzar jeśli drzwi były zamknięte pozostawała, rzecz prosta, droga przez okno. Raz jeszcze zebraliśmy się we czworo w pokoju gościnnym; przyniesiono okrytą pajęczyną butelkę i zaczęliśmy mówić o dawnych dziejach w domu Ravonów. Dziś jeszcze widzę wyłożoną potężnymi dylami izbę, dwie uśmiechnięte, stare twarze, złoty krąg światła lampy i Marię, żonę moją z czasów młodości, w tak dziwny sposób zdobytą i tak prędko straconą.

Było już późno, kiedy się z nimi pożegnałem. Stary jej ojciec wyszedł ze mną na korytarz.

- Możesz wyjść przez drzwi frontowe lub tylne - rzekł. - Droga przez tylne drzwi jest krótszą.

- Wyjdę frontowymi - odparłem. - Tędy jest wprawdzie trochę dalej, ale myśleć będę cały ten czas o Marii.